

odgłosy

Rok V. Nr 13 (213)

Łódź, 1. IV. 62 r.

Cena

1 zł

ALICJA ZOMERÓWNA
W „TERMITIERZE”
Z. NIENACKIEGO
Recenzję zamieszczamy
na str. 8.

BOGUSŁAW HOLUB

MAŁY CZŁOWIEK nie chce CUKIERKÓW

EWA OSTROWSKA

CO znaczy moda na ZORRO?

Muszę zacząć od trzasku, że film, szczególnie w ostatnim czasie, urosł w pole, kształtuje wiele powszechnych mód i gustów, jest też bardzo dziś istotnym elementem kultury masowej, wreszcie — nie bez znaczenia jest jego udział w oddziaływaniu na kulturę jednostkową. Nasi najmłodsi nie zdążyli jeszcze polamać drewnianych mieczy, a już nowy bohater zaemil sławę imię Zbyszka z Bogdańca. Koślawe litery na murach kamienic głoszą chwale jego bliskiego krewniaka — telewizyjnego ZORRO. Rodzi mi Holidayowie na żywo, bez obawy posądzenia o plagiat, kopiują swego zagranicznego i autentycznego prekursora. W MDK na występach zespołu „Czerwono-czarnych” młodociana publiczność zademonstrowała popisową ekstazę jazzową, importowaną wprost z kronik filmowych. Ba! — ankiety dla dorosłych na bohatera książkowego roku wykazują, że i poważni, zrównoważeni obywatele ulegają sugestiom filmu, w ubiegłym roku laur pierwszeństwa zdobył tenże imię Zbyszko, w tym roku — książkę „Wojny i pokój”. Bestseller filmowy znacznie silniej od książkowego wpływa na gusty odbiorców.

Podane przykłady są w dużej mierze przejawami negatywnego wpływu filmu, co zupełnie nie degraduje zasadniczych pozytywów, ponieważ wszędzie tam, gdzie występuje „konsument masowy” muszą powstawać odchylenia od normy prawidłowej.

Człowiekowi dorosłemu zagraża o wiele mniejsze niebezpieczeństwo wypaczenia języka filmowego, gdyż jest po prostu bardziej doświadczony.

Laczej młodzież. Właściwa jej emocjonalna reakcja na sztukę nie pozwala na zachowanie należytego dystansu, koniecznego przy obiektywnej ocenie filmu. Wice, komu jak komu, ale na pewno młodzieży należałoby umożliwić właściwy kontakt z filmem, najbardziej obecnie ekspansywnym i rzutkim gatunkiem sztuki.

SZKOLNY KONKURS FILMOWY

Zainteresowanie młodzieży filmem jest ogromne. Szkoda, że brakuje nam statystyk. Nie wiemy jaki odsetek widzów

Dalszy ciąg
na str. 4



Fot. G. Puciato

BARBARA WRZESIŃSKA

Alarm dla Aleksandrowa



Fot. J. Glowacki

Tuż za opłotkami Wielkiej Łodzi, przecięte podwójną wstęgą tramwajowych szyn, leży trzynastotysięczne miasto, Miasto namietności godnych Harpagona, ludzkiej krzywdy i zawiądek goryczy. Dziwne to miasto. Króluje w nim młot o wszechwładzy pieniądza. Stare przystawie wyzyskiwanych — „biednemu zawsze wiatr w oczy”, mimo zmian siedemnastolecia, często

wraca na usta jego mieszkańców.

Aleksandrow. Przy centralnym jego placu znajduje się również siedziba Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, jak i siedzibę Dyrekcji Państwowych Zakładów Przemysłu Pończosznego. Obie te instytucje są widocznym symbolem nowego ładu. Ale czy one grają pierwsze skrzypce w świadomości aleksan-

drowian? Czy nie istnieją tu inne czynniki, również wywierające wpływ na codienne życie mieszkańców tego miasta? Jakiego rodzaju są te wpływy?

HANDLARZE

Z dniem 15 marca Anno Domini 1962 zaczęła w Aleksandrowie obowiązywać publiczna gospodarka lokalsowa. Do tej pory istniał tu

— Nie ma innej rady, musimy zrobić dziecko — powiedział mąż.

— Niech będzie — zgodziłam się. Dziecko chciał urzędnik z Kwaterunku. Małżeństwo bez dziecka nie ma się co starać o mieszkanie. Mnę było ono jeszcze niepotrzebne. Izba, w której mieszkalam nie była dla dzieci. Umrze tu — myślałam. Mąż był innego zdania. Mówił — żyło nas ośmioro w lepiance. Dwoje tylko umarło.

Jak przyszedł ze wst do Łodzi o mieszkanie było już ciężko. Zajął sutereng. Wilgotno tu i ciemno, ale on był do tego przyzwyczajony. Wprowadził mnie tutaj. We dwójkę jeszcze jakoś szło żyć. Z dzieckiem gorzej. Chorowało, nie wiadomo nawet na co. Mówię mężowi — zostawmy na razie dzieci, musimy najpierw mieć lepsze mieszkanie. Weź się do roboty na budowie. Przewodników honorują. Masz siłę, zakaszysz innych.

Posłuchał. Nie miał jednak szczęścia. Kiedy zaczęło o nim mówić w radzie i organizacji, że najlepszy w przedsiębiorstwie, zdarzył się wypadek. Przepuklina na dwie strony. Poszedł do szpitala. W tym czasie zapomniano o nim. Wydobrzył, ale na budowę już nie wrócił. Przyjeżdżał go za portiera. Z okna kankorku świat jest mały i człowiek w nim jest mały. Jego dyrektor zmienił trzy razy dobre mieszkanie na lepsze. Dyrektor to nie portier. Stary gryzł się tym.

Jedyna nadzieja w dzieciach, zasypimy ich dziećmi — mówił. Wtedy odpowiedziałam — dobrze, zasypimy ich dziećmi.

Urodziłam drugie. Poszliśmy do Kwaterunku. Poczekajcie trochę, na razie dajemy

mieszkania liczniejszym rodzinom. Będzie i u nas liczniej — pomyślałam. Przyszło na świat trzecie. Poczekajcie jeszcze trochę — powiedzieli. Zrobimy czwarte — namawiał mąż. Nie, więcej nie będzie. Nie chciałam. Dzieci nie pomagały. Tylko z nimi kłopot. Najstarszy źle się uczy. Choruje często, szkołę opuszcza. Nauczyciele go nie lubią. — Bandyta z niego wyrośnie — powiedziała woźna w szkole. Syna doktora bije co dzień.

Serce się krajało, jak to slyszalam. Mówię mu — Kazeł nie bij, bo wezmą cię za ostatniego bandytę. A on na to, — będę go bił. On pierwszy powiedział na mnie śmieszki. I wszystkim dzieci mówią teraz „Kazik śmieszki”.

Ale, to nie Kazeł śmieszki, to piwnica. Nosi ją z sobą do szkoły, siedzi mu we włosach, w skórze, w ubraniu. Nie czuje pan tej piwnicy?

W sutereng waniłowy zapach pieczonych racuchów mieszał się ze stęchłym powietrzem. Z wodociągowej rury wiszącej wzdłuż ściany kapali na gorącą blachę kropelki wody i parowały z sykiem. Powietrze było lepkie i cuchnęło miejskimi kanałami. Czulem jak moja jesienka staje się coraz cięższa. Wszedła się w nią smrodliwa wilgoć sutereng. Sosnowa szafa stała na ceglach. Nogi jej dawno przegniły. Czarna plama wilgoci pod oknem wisiała jak nekrolog.

To nie syna doktora on bije, ale tą czystość, tą wy-

Dokończenie
na str.
5

aby wyciągnąć ze swych posiadłości jak największe korzyści.

Wytworzyła się więc w Aleksandrowie, a nie wątpię że i w innych podlódzkich ośrodkach nowa profesja — handlarze mieszkaniowi. „Cennik” za wynajęcie lokalu jest różni-

Dalszy ciąg na str. 7



WIESŁAW BEK

U PROGU NIEPODLEGŁOŚCI

1.11.1954. Powstańcy algierscy zaatakowali szereg posterunków francuskich w różnych częściach kraju, szczególnie w masywie górskim Aures. Bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania były represyjne zarządzenia władz kolonialnych oraz wzmacniający się terror...

19.3.1962. O godz. 12 wszedł w życie układ o zawieszeniu broni, podpisany poprzedniego dnia w Evian przez przedstawicieli rządu francuskiego i TRRA.

Miedzy tymi dwiema datami minęło siedem lat, cztery miesiące i osiemnaście dni. Właśnie dokładnie tyle trwała wojna algierska, ciężka walka przeciwko nowoczesnemu uzbrojeniu kolonizatorów, którzy takimi oto słowami — jak pisze dziennikarz francuski, A. P. Lentin — próbowali zachęcić Algierczyków do frankizacji ich kraju: „Ech, Arabowie! Bądźcie dziećmi krzyżem, Algérie Française”, czy nie?”

Dzisiaj wiemy już na pewno, że Algierczycy długimi latami oporu i wielomiesięcznych rokowań wywalczyli dwie podstawowe zasady swej niepodległości: integralność terytorialną i traktowanie Tymczasowego Rządu Republiki jako ich jedynego przedstawiciela. A to niemało, jeśli uprzytomnimy sobie, że w cztery dni po powstaniu algierskim ówczesny minister spraw wewnętrznych Francji krzychał na posiedzeniu komisji Zgromadzenia Narodowego: „Jedynym warunkiem do wojny”, a prezydent de Gaulle w kwietniu 1959 roku podkreślał mocno: „nie uznaję TRRA jako przedstawiciela całego narodu algierskiego”.

I dlatego w kompromisowym pokoju z Evian słusznie opinia publiczna świata dopatruje się zwrotnego, historycznego momentu w życiu narodu algierskiego.

Kompromisowy pokój? A tak. Bowiem i Tymczasowy Rząd, z upoważnienia Narodowej Rady Rewolucji Algierskiej, poszedł na pewien kompromis. Wyraża się on:

1. w pewnych gwarancjach dla „obywateli francuskich”, którym pozostawiono trzyletni okres do podjęcia decyzji, czy staną się Algierczykami z zachowaniem przynależności narodowej francuskiej, czy też pozostaną w Algierii w charakterze cudzoziemców,

2. w zgodzie na trzyletnią obecność francuskich oddziałów wojskowych, a także wykorzystywanie przez pięć lat poligonu nuklearnego na Saharze,

3. wreszcie — w utrzymaniu nabytych przez Francję



Belkacem Krim, przewodniczący delegacji algierskiej w Evian

sowskich: 13 maja i 22 kwietnia, liczące 6 tysięcy żołnierzy, oraz znacznie liczebniejszą cywilną służbę OAS — nie wyrzuciły do morza plastikowych bomb.

Instrukcja Salana, wydana w przewidywaniu „klęski pokoju”, dla OAS jest jednoznaczna: w pierwszym okresie spokoju, potem sianie anarchii i stopniowe przechwytywanie władzy. Grupa zwyciężonych w dżunglach indochińskich generałów i pułkowników, zawieszonych w swej stawce na de Gaulle'a — czeka na korzystny moment.

Złożyło się tak dziwnie, że opublikowanie komunikatu o zakończeniu rozmów w Evian niemal zbiegło się z rewelacjami włoskiego tygodnika „Espresso” o OAS. Tygodnik donosi, że ultrasowski trybunał specjalny — bo i własnym sądem OAS dysponuje odbył szereg procesów przeciwko co najmniej dwóm politykom francuskim. Długa lista zaocznie skazanych na śmierć zaczyna się od Debre (obecnym premierem francuskim), a kończy się na Thorezie. Co więcej — w czasie przygotowań do kwietniowego ładowania w Paryżu (podczas puczu w 1961 roku) wszyscy OAS spadochroniarze zaopatrzeni zostali w spis znanych osobistości politycznych skazanych przez ten trybunał. Spis ten jest ciągle uzupełniany.

Przypominam o tym wszystkim nie bez przyczyny. Jakże bowiem tymczasowa władza wykonawcza Algierii, która w myśl porozumienia w Evian składać ma się z 12 przedstawicieli, mogłaby wypełnić swe podstawowe zadanie — przygotowanie w ciągu trzech — sześciu miesięcy referendum, gdyby rozgorzała na nowo wojna algierska?

Na szczęście, nie garstka zawodowego korpusu oficerskiego ma dziś głos decydujący. A żołnierze, jeśli nawet tragicznym dla nich zbiegiem okoliczności znaleźli się pod rozkazami b. gen. Salana i jego faszystowskiej kompanii, widzą w przerwanym ogniu również dla Francji wielką szansę...

W Łodzi to nie uchodzi UŚWIADAMIAMY NASZE DZIECI

Wyszedłem w niedzielę na spacer z Anielcią, do parku. Pełno par, parok, parczek. I takie to młode, roześmiane, ładne, szczęśliwe jakieś...

Anielcia powiada: — Popatrz, Wirguś, jak to teraz wcześniej zaczyna! Ledwo od ziemi odrośnie, już się do kochania zabiera!

Chciałem jej przypomnieć, że myśmy właściwie też tak coś w tym wieku zaczynali, ale mnie zaraz zgasła.

— Już ja wiem, co mówię. Zresztą nie byłoby ostatnio na naszym Uniwersytecie dla Rodziców. Dowiedziałabym się, że teraz młodzież wcześniej dojrzewa i w ogóle szybciej się rozwija. Przez te kina, radio, telewizję i w ogóle. I rodzice powinni z tego zdawać sobie sprawę.

— E, coś mi się wydaje, że to lekka przesada. Jak się chłopak gapi w telewizor, to mu szybciej meszek pod nosem się synpie?

— A ty już się wymydrzasz! Już byś wszystko ośmieszał. Opuścisz wykłady i potem nie nadążasz. Masz zadane do domu uświadomienie.

— Jak to? — Zwyczajnie. Prelegent powiedział, że nie należy czekać, obowiązkiem rodziców jest natychmiast uświadomić. Najlepiej: ojciec — syna, a matka — córkę. Musimy zaraz to praktycznie realizować. Zebrał mi Stefka uświadomić, i to szybko. W tym tygodniu.

— Co ty, Anielcio, chłopak ma osiemnasty rok, już pewno uświadomiony!

— Ale co ty wiesz! To prawie dziecko. W bopiany chyba nie wierzy, ale poza tym to takie naiwne. A pamiętasz film „Jutro będzie za późno”?

— To dotyczyło raczej dziewcząt, więc trzeba by Marysię...

— Marysia to moja sprawa,

a ty mi załatw ze Stefką! — Ale co ja mam, u Boga-Ojca powiedzieć? O czym? Jak?

— Jak? Prelegent powiedział: prosto, w sposób naturalny, poważny, ale unikając trzebia jakichś drastycznych szczegółów.

— Unikaj drastycznych? Co to znaczy? O czym ja mam mówić?

— O czym i o czym! Mężczyzna! To już sam powinien wiedzieć. Prelegent wspominał, żeby taktownie mówić na temat samowładu, chorób wenerycznych, właściwego stosunku do dziewcząt...

— Diabli nadali! Ja tego nie potrafię. Niechby ten cały prelegent to wziął na siebie! Teraz musiałem wysłuchać jerejanya na egzaminie, wygodynictwo itd. itd. Koniec końców — skapitulowałem.

Wczoraj, zaraz po obiedzie Anielcia mówi do Stefka:

— Stefuś nie zabieraj się do lekcji! Później odrobisz, wyjdź trochę z tatusem na spacer. Porozmawiajcie sobie.

Chłopak wybaluszył oczy ze zdumienia. Myślałem, że się nie zgodzi, ale widąc ciekawość, co to będzie, przemogła. Z ciężkim westchnieniem wyszedł z nim na ulicę.

— No i co tam, tato, co mi powiesz?

— Co tu mówisz? Jak zacząć? Kaszel mnie chwycił uporczywy a niespodziewany.

— Nie, uważasz, mama chciała, żebyśmy trochę pogadali o tym, tego no — wiesz... Jesteś już starszy niż dawniej...

— Nie widzę w tym nic osobliwego. — No, tak, naturalnie. To tak bywa, że tego... Bo to czas, teraz takie... — Jakże? — No, takie jakieś skom-

płikowane... Wiosna idzie, no więc... Później lato... — Jesień, zima, znów wiosna, i tak de capo, tatusek! Przed wojną też chyba była taka kolejność. Co? — No, no! Nie ironizuj! Tylko byś kpił i kpił! — A ty znów kłujesz, kłujesz. Mówże prosto o co ci chodzi!

— Wolno, wolno. Nie tak nagle! Chciałem z tobą poważnie. Bo to, widzisz, w twoim wieku chłopcy, to, no, tego... Czasem ten i ów się zakocha. Dojrzeją, panie tego, pociwo, że tak się wyrażę. A tu znów dziewczęta. Też panie, rozmawiać bywa, trzeba mieć właściwy stosunek.

— Stosunek? O! — Nie, nie! No... stosunek w ogóle. Jakby tu się wyrazić (siódme pół na mnie biła! Bodaży ten Uniwersytet dla Rodziców i tę moją babę diabli...)

— No, już, już tato, nie lam się! Twój syn już jest uświadomiony. Myśmy o tych wszystkich historiach w szkole się nasłuchali. Na lekcjach wychowawczych i na biologii. A tak, prawdę mówiąc, to zanim belfry i lekarz szkolny się zdecydowali, to już w ósmej klasie wszyscy czytali takie broszury, jak „O czym każdy chłopiec powinien wiedzieć”, „O czym chcą wiedzieć dziewczęta” — czy coś podobnego. Nie przejmuj się!

— Tak? No to dobrze, dobrze... — Odsapnąłem. Czulem się, jakby mi usunęli piekacy odcisk.

— Wiesz co, Stefek, wstąpmy na pół czarnej. Dobrze? Możemy przecież wrócić do domu trochę później.

— Pewnie! Tak będzie nawet lepiej. Inaczej mama by cie podejrzewała, żeś mnie tak tylko po wierzchu uświadomił albo i wcale nie.

— Chodź, tato, morowy chłop z ciebie! Nie wspanię cię. Spokojna głowa!

— Tak? No to dobrze, dobrze... — Odsapnąłem. Czulem się, jakby mi usunęli piekacy odcisk.

— Wiesz co, Stefek, wstąpmy na pół czarnej. Dobrze? Możemy przecież wrócić do domu trochę później.

— Pewnie! Tak będzie nawet lepiej. Inaczej mama by cie podejrzewała, żeś mnie tak tylko po wierzchu uświadomił albo i wcale nie.

— Chodź, tato, morowy chłop z ciebie! Nie wspanię cię. Spokojna głowa!

— Tak? No to dobrze, dobrze... — Odsapnąłem. Czulem się, jakby mi usunęli piekacy odcisk.

— Wiesz co, Stefek, wstąpmy na pół czarnej. Dobrze? Możemy przecież wrócić do domu trochę później.

— Pewnie! Tak będzie nawet lepiej. Inaczej mama by cie podejrzewała, żeś mnie tak tylko po wierzchu uświadomił albo i wcale nie.

— Chodź, tato, morowy chłop z ciebie! Nie wspanię cię. Spokojna głowa!

— Tak? No to dobrze, dobrze... — Odsapnąłem. Czulem się, jakby mi usunęli piekacy odcisk.

— Wiesz co, Stefek, wstąpmy na pół czarnej. Dobrze? Możemy przecież wrócić do domu trochę później.

— Pewnie! Tak będzie nawet lepiej. Inaczej mama by cie podejrzewała, żeś mnie tak tylko po wierzchu uświadomił albo i wcale nie.

— Chodź, tato, morowy chłop z ciebie! Nie wspanię cię. Spokojna głowa!

— Tak? No to dobrze, dobrze... — Odsapnąłem. Czulem się, jakby mi usunęli piekacy odcisk.

— Wiesz co, Stefek, wstąpmy na pół czarnej. Dobrze? Możemy przecież wrócić do domu trochę później.

— Pewnie! Tak będzie nawet lepiej. Inaczej mama by cie podejrzewała, żeś mnie tak tylko po wierzchu uświadomił albo i wcale nie.

— Chodź, tato, morowy chłop z ciebie! Nie wspanię cię. Spokojna głowa!

— Tak? No to dobrze, dobrze... — Odsapnąłem. Czulem się, jakby mi usunęli piekacy odcisk.

— Wiesz co, Stefek, wstąpmy na pół czarnej. Dobrze? Możemy przecież wrócić do domu trochę później.

— Pewnie! Tak będzie nawet lepiej. Inaczej mama by cie podejrzewała, żeś mnie tak tylko po wierzchu uświadomił albo i wcale nie.

— Chodź, tato, morowy chłop z ciebie! Nie wspanię cię. Spokojna głowa!

— Tak? No to dobrze, dobrze... — Odsapnąłem. Czulem się, jakby mi usunęli piekacy odcisk.

— Wiesz co, Stefek, wstąpmy na pół czarnej. Dobrze? Możemy przecież wrócić do domu trochę później.

„Z SOBOTY NA NIEDZIELE”

Najlepszy angielski film 1960 roku, film czterokrotnie nagrodzony w Mar del Plata — dotarł wreszcie na nasze ekrany — Chodzi oczywiście o film Karela Rejsza „Z soboty na niedzielę”.

Film Rejsza jest zaprzeczeniem wszystkiego, co do tej pory mówiło się i słyszało o współczesnym filmie angielskim — stał się w poprzek wszystkim schematom „angielskości”. Nie ma w nim obrazu zamożnej, bezkonfliktowej Anglii, pełnej dyslingowanych i taktownych ludzi. Grupa Free Cinema, w której pracują między innymi Richardson („Music-hall”), „Smak miodu”) i Reisz zerwała z problemowym i artystycznym konformizmem angielskiej sztuki filmowej. Znalazła nowe środki wyrazu dla oddania obrazu takiej Anglii, jakiej nie znamy z ekranów, Anglii, w której przecież również żyją miliony proletariatu.

Konkretność i autentyczność, brutalność i liryzm filmu są

przejawami samego życia, bez wyczuwalnych intelektualnych i artystycznych ingerencji twórców. Decyduje o tym realizm każdego szczegółu — od problematyki do najmniejszego gestu bohaterów. W filmie Rejsza widzimy nieczęsto spotykaną jedność koncepcji głównej postaci z koncepcją całego filmu.

Można by zebrać w sporą antologię filmy, w których czołową postacią jest proletariusz. Mało jednak która z tych postaci może się autentycznością i siłą wyrazu równać bohaterowi filmu Rejsza.

Bohater „Z soboty na niedzielę”, wspaniale zagrany przez Alberta Finneya, to młody „zbuntowany” robotnik. Bunt bohatera Rejsza nie należy do rzędu tych, wnoszonych w imię wyższych, ogólnoludzkich, narodowych czy klasowych celów. Bunt jego ma ściśle określone źródło. Irytuje bohatera filmu ogłupiająca praca dla kogoś, brak większej ilości pieniędzy, które pozwoliłyby niezależnie się od dotychczasowego pracodawcy i uatrakcyjnić sobotnio-niedzielną okres zabaw. W ramach swych dotychczasowych możliwości nasz bohater bawi się, najczęściej głuپی i beznadziejnie — upija się, prowadzi nieciekawych romansów z prostytutką, łowi ryby, szuka nowych przygód. Zbyt wielkiego wyboru nie ma, a na tych kilka godzin wątpliwych atrakcji ciężko pracuje cały tydzień.

W kontekście tych wiadomości o życiu bohatera filmu

trudno byłoby obdarzyć go chociaż częścią sympatii — zbyt uboga by to była postać. Reżyser i aktor wzbogacili jednak swego bohatera tym, co nie bardzo pióro recenzenta potrafi określić. Bohater „Z soboty na niedzielę” posiada na pewno wiele osobistego wdzięku, chyba głównie dzięki prawdziwości realizacji i czynu, każdego gestu i słowa. Jest jednocześnie „chropowaty” i delikatny. Niezrównoważony na pozór młody człowiek potrafi odpowiadać za swoje czyny. Objawiając swój „bunt” głównie w owej upartej ochocie do zabaw, manifestuje w niej swą niezależność i pogardę dla wciągnięcia się w rytm codziennych trosk i harówek dla kogoś. Jego życiowa energia, ciągle „nie” stawiane temu, co go chce wchłonąć — światu życiowych oportunistów, napotyka w końcu na coś, co może odmienić naszego bohatera. Tym „czymś” jest oczywiście dziewczyna, która rychno stanie się żoną. Typowa mieszanka z marzeniami o lodówce, telewizorze i własnym domku może dość szybko zneutralizować „bunt” naszego bohatera. Odcinając ze swoją dziewczyną, w ostatniej scenie filmu, chłopak, może zawędrować nie dalej niż jego ojciec — na ów symboliczny hotel przed telewizorem. Stary, zgorzkniały człowiek patrzy uparcie na mały ekran, mimo kpin swojego syna. Już tylko w tym patrzaniu wyraża się jego pogarda dla świata.



Fotos z filmu pt „Z SOBOTY NA NIEDZIELE”

OGLĄDAMY na EKRANACH

Poza premierami świętego filmu angielskiego Karela Rejsza „Z soboty na niedzielę” i premierze nowego, tym razem udałego, polskiego kryminału reż. Chmielewskiego „Dwaj panowie N”, któremu „Mieszańka” poświęciła osobną recenzję, warto polecić dwa bardzo dobre, pełnometrażowe filmy dokumentalne — „PIERWSZY LOT W KOSMOS” i „HINDUKUSZ”. Pierwszy z wymienionych, jak nie trudno odgadnąć z tytułu, dotyczy Jurija Gagarina i jego wyprawy. Film ukazuje pracę przy gotowaniu, treningi kosmonauty, wysiłki konstruktorów, techników przygotowujących statek kosmiczny „Wostok-1” do historycznego lotu. Stosunkowo duża część filmu poświęcona jest samemu już lotowi Gagarina. Realizatorami są dwaj dokumentaliści radzieccy — Kopolin i Bogolepov. Interesujące i bardzo dobrze zdjęcie wykonano 28 operatorów. „Pierwszy lot w kosmos” jest niewątpliwie dokumentem, do którego wielokrotnie w przyszłości będzie się powracało. Kopolin i Bogolepov zarejestrowali przede wszystkim fakty i odwagę człowieka unikającego przy tym tak nieznosnego w wielu radzieckich filmach dokumentalnych patosu.

Sergiusz Sprudin i Witold Leńkiewicz są znanymi polskimi dokumentalistami, autorami lub współautorami cennych filmów dokumentalnych: „Wielki rydł”, „Warszawa”, „Ślask”, „Narciz”, „Rajd w obłokach”, „Wariant R”, „Migawki afrykańskie”, „Początek reportażu” i innych. Obaj są pierwszymi polskimi, zawodowymi filmowcami, którzy uczestniczyli w tak trudnej wyprawie alpinistycznej jak było zdobywanie szczytu Nostaka w Afganistanie, w masywie górskim Hindukusz.

Ten film jest reportażem turystyczno-krajoznawczym, którego walorami są nie tylko znakomite barwne zdjęcia, ale i interesująca opowieść z wyprawą ukazującą narastanie trudności, ich pokonywanie i wreszcie zdobycie szczytu Nostaka wysokości 7500 m.

Po tych dwóch interesujących filmach dokumentalnych należy wymienić wśród nowości, które ukazywały się lub ukazywać na ekranach — film produkcji meksykańskiej „TORREADOR”, którego bohaterem i zarazem producentem jest znany torador Luis Procuna. Ciekawie zainicjowany i fabularyzowany film dokumentalny stanowi próbę ukazania kulis kariery słynnych toradorów, reakcji społeczeństwa, które podtrzymuje i żąda nieudzięków w swym charakterze corrid. Autobiograficzna opowieść Procuny nosi wszelkie cechy polemiki z istniejącym mechanizmem tego antyhumanitarnego sportu. Minusami filmu Procuny są nalotowość konstrukcyjne, między innymi tak zwana rama filmu (ak również komentarz odautorski napisany zbyt posagowo i zbyt monumentalny w stosunku do samego bohatera filmu i autora opowieści).

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

MARIA KORNAŁOWSKA

Bronią się jeszcze twierdze Grenady...

Dwa lata temu powstał w Łodzi pierwszy w Polsce uniwersytecki Zakład Wiedzy o Filmie. W najbliższej przyszłości planuje się otwarcie podobnych placówek naukowych w Warszawie i Krakowie. Przy Instytucie Sztuki PAN pracuje Zakład Teorii i Historii Filmu. Od 1956 r. rozwija swą działalność Studium Teorii i Historii Filmu, które wychowywało już kilku bardzo zdolnych młodych naukowców i krytyków. W ten sposób filmologia wdarła się na katedry uniwersyteckie, a film stał się przedmiotem naukowych dociekań i dysertacji. Obecnie postępowi pedagogowie walczą o włączenie wychowania filmowego do programu szkolnego. To bardzo cenna inicjatywa. W ten sposób nasze szkoły wypuszczą świadomych odbiorców sztuki filmowej, co nie może pozostać bez wpływu na poziom samej produkcji, tak mocno uależnionej od publiczności. W ten sposób powstaną fundamenty czegoś co można by nazwać kulturą filmową. Trzeba jednak powiedzieć bez ogródek, iż wprowadzanie filmu do szkół i do uniwersytetów nie odbywa się gładko i bez przeszkód.

Do dziś jeszcze, zwłaszcza wśród różnego rodzaju intelektualistów i naukowców pokutuje przekonanie, że film nie jest sztuką, a w najlepszym razie jest sztuką pośredniejszego gatunku. Film nie zafascynował, nie „opętał” żadnego z naszych wybitnych naukowców. Nie lepiej traktuje się naukę o filmie. Winna tu zresztą sobie i owa nauka. Nie bez kozery prof. dr. Baranowski nazwie ją publicystyką, w której frazeologia i jakowe estetyzowanie pokrywa brak naukowej metody.

Ale tu wytwarza się błędne koło. Bowiem prawdziwie naukowe ostrogi zdobyć może film tylko w uniwersyteckich szrankach. Zekłnięcie filmu z nauką uniwersytecką może się okazać niezwykle owocne dla obu stron jak tego dowodzą włoskie i francuskie doświadczenia. Rozumie to prof. Baranowski, wskazując na konieczność wprowadzenia do uniwersytetów filmologii pojmowanej jako szeroki wachlarz dyscyplin naukowych związanych z różnymi aspektami zjawiska, któremu na imię film. Zresztą film to nie tylko obiekt badań, ale i znakomite narzędzie naukowe także i dla nauk humanistycznych (np. etnografia). Trzeba to wreszcie zrozumieć, iż nie może być mowy o pewnych gałęziach współczesnej humanistyki bez filmu — zasadniczego elementu kultury XX wieku.

Chcę przynajmniej pobieżnie zorientować się w nastawieniu naszych humanistów wobec filmu, przeprowadziłam krótkie telefoniczne rozmowy z wybitnymi naukowcami: UL, prof. dr. K. Dejną i prof. dr. S. Skwarczyńskim (Wydział Filologiczny); prof. dr. B. Baranowskim i prof. dr. S. Zajęczkowskim (Wydział Historyczny) oraz przedstawicielką młodych kadr naukowych, mgr Heleną Karwacką.

Naszemu rozmówcom zadaliśmy kilka mniej więcej podobnie sformułowanych pytań i pozwolimy sobie teraz przytoczyć niektóre ich odpowiedzi.

Spśród pięciu indagowanych osób tylko prof. Baranowski często chodzi do kina. Inni tłumaczą się brakiem czasu lub trudnościami w zdobywaniu biletów. Jeden z naszych rozmówców od 3 lat nie był w kinie (brak cza-

su + telewizja). Właściwie nikt z zapytanych nie traktuje pójsia do kina jako czyściej rozrywki. Przy wyborze filmu dla 3 osób decydujące są wartości artystyczne (główną jednak rolę odgrywają tu walory tematyczne, a nie formalne; jedna osoba zdaje się całkowicie na los przypadku, a tylko jedna (mgr Karwacka) kieruje się również nazwiskami reżysera lub aktorów (obejrzała wszystkie filmy Bergmanna). Tylko jeden z rozmówców przywiązuje szczególną wagę do walorów formalnych dzieła filmowego. Inni poprzestają na dosyć ogólnikowym postulatcie zachowania tzw. specyfiki filmowej. Dwaj poloniści prof. prof. K. Dejna i Z. Skwarczyński uważają, że w filmie najważniejsza jest koncepcja, problem, treść. Reżysera spełnia jedynie rolę służebną, lepić lub gorzej — technicznie przekazuje ową treść czy koncepcję. Reżyser nie jest autorem filmu. Dlatego nie ogląda się filmu dla reżysera, tak jak czyta się książki dla pisarza. Reżysera filmowego można traktować na równi z reżyserem teatralnym. Oczywiście w obu wypowiedziach są pewne niuanse. Dla prof. Skwarczyńskiego ważne jest zachowanie określonej wizualnym charakterem sztuki specyfiki filmowej. Dla prof. Dejny sprawy formalne, to tylko kwestia techniki i warsztatu, mająca dlań całkowicie drugorzędne znaczenie.

Zaden z naszych rozmówców nie czytuje prasy filmowej, swą wiedzę o filmie czerpie z tam czasopism kulturalno-literackich. Tylko i osoba wymieniła „Kwartalnik filmowy”, krytykując go zresztą jako pismo zawieszane w próżni.

Z teoretyków filmu znany

jest tylko Irzykowski. Z uwagą, że jego poglądy były nieco wcześniej docenione niż zdecydowali się na to filmolodzy. Oczywiście brak czasu nie pozwala na zagłębianie się w lekturze filmowej. Brak czasu i może brak większego zainteresowania czy też przekonania. Znana jest jednak „Historia filmu” Toeplitza, monografie Sadoula o Chaplinie itd. (mgr Karwacka). Prof. Baranowski z dużym uznaniem wyraża się o pracach prof. dr. Jewsiwickiego (warształ naukowy i metodologia). W sumie jednak dotychczasowy dorobek naukowy wiedzy o filmie nie budzi nadmiernego entuzjazmu.

Prawdziwie kinomańskie skłonności zdradził tylko jeden z naszych rozmówców i jedna osoba — szczerze zainteresowana. Reszta zachowuje raczej obojętność. I właśnie te dwie osoby orientują się też najlepiej w świecie nazwisk i tytułów filmowych. Najpopularniejszą postacią, aczkolwiek też nie wszystkim znaną, jest Bergman. W rozmowie padły również nazwiska Eisensteina, Claira, Chaplina, Felliniego, co nie oznacza bynajmniej znajomości ich twórczości reżyserkiej. Dlatego niekiedy i z tego względu trudno mówić o ulubionych reżyserach.

Dwie osoby jako pozycję znakomitą wymieniły „Tam gdzie rosną poziomki”. Inni nie widzieli filmu. Tylko jedna osoba skojarzyła „Hiroshima moją miłość” z nową fali. Nazwiska Resnais, Antonioniego, Kurosawy — nieznane są naszym rozmówcom. Podobnie: Hitchcock, który w pamięci jednej osoby łączy się z filmem sensacyjnym. Okazuje się, że wymienienie kilku najciekawszych pozycji minionego sezonu nie przychodzi

większości naszych rozmówców z łatwością. Jeden z nich wymienia „Bulwar Zachodzącego Słońca”, „Urzeczoną”, „Lecą żurawie”, „Zegnajcie gołębie”. Prof. Baranowski wymienił „Vera Cruz” jako dzieło znakomicie łączące walory westernu z wartościami filmu historycznego. Obu historyków szczególnie interesują filmy historyczne. Obaj też zgodnie oceniają „Krzyżaków” jako film, który mimo drobnych uchybień, zachował dużą wierność wobec historii, jako jeden z dobrych filmów historycznych. Natomiast inny z rozmówców uważa „Krzyżaków” za zdecydowaną „chwałę” ze względów merytorycznych.

Czy dla naszych rozmówców film jest sztuką? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. To bardzo specyficzna sztuka... To sprawa do dyskusji. Film może być sztuką... ale nalogowe oglądanie filmów równa się nalogowemu czytaniu powieści „bez wyboru”.

Miejsce filmologii jako wiedzy o sztuce wizualnej według jednego z rozmówców przypada na uniwersytecie obok historii sztuki, historii kultury, ale w żadnym razie obok nauk filologicznych. Tylko dwu z naszych rozmówców opowiada się za pełnym zrównaniem praw filmu i pozostałych uznanych już sztuk. W każdym razie ważne jest to, że szukają oni w filmie przeżyć i wzruszeń artystycznych, a nie zabawy i rozrywki. To istotny krok naprzód w naszym szturmie do bram Grenady.

odgłosy

nr. 3

Co znaczą moda na ZORRO?

Dalszy ciąg
ze str. 1

stanowi młodzież szkolna. Zastąpmy tę niewiadomą innymi danymi. Dwa tysiące zeszłoś prac udeślanianych na szkolny konkurs na wypracowanie i recenzję o jednym z filmów polskich wyświetlanych w czasie FFP. Imprezę zorganizowały: Kuratorium m. Łodzi, Centrala Wynajmu Filmów i Okręgowy Zarząd Kin. Ogółem wzięło w niej udział 40 szkół łódzkich stopnia podstawowego i licealnego. Spośród wspomnianych 2.600 prac 300 zakwalifikowano do eliminacji drugiego stopnia i ostatecznie 20 otrzymało nagrody. (10 ze szkolnictwa średniego i 10 z podstawowego).

Sądy uczniów co najmniej zaskakują. Człowiekowi serce rośnie, gdy czyta ich prace. Wszędzie próba samodzielnego analizy pytań: „Dlaczego mi się podoba — i co mi się nie podoba w filmie”. Uwagi krytyczne, pozbawione pretensjonalności, chciałoby się powiedzieć — mądre. Okazuje się, że młodzież potrafi odbierać film, rozumiejąc i zastanawiając się nad jego treścią, formą, pointą. Ten ważki moment dominuje w pracach konkursowych. Dlatego, za krzywdzący uczestników konkursu, oraz krzywdzący wysiłki organizatorów konkursu uważam artykuł p. Wojciechowskiej „Wnioski do wyciągnięcia” („Dziennik Łódzki” nr 49), w którym autorka pisze między innymi: „Nie trzeba też chyba mówić dziecku, co miało miejsce na zakończenie konkursu, że ich wypracowania świadczą o wielkim znanstwie filmu, o własnym p o w a ż n y m poglądzie na zagadnienia sztuki filmowej...”. O ile wiem, nikt nie sugerował młodzieży z n a w s t w a sztuki filmowej. Mgr Pawłowska omawiając wyniki konkursu, bynajmniej nie wyprowadzała paraleli między „erudycją filmową” młodzieży a erudycją np. K. T. Toeplitza czy p. Wojciechowskiej. Stwierdziła natomiast, że młodzież stała się w ł a s n y, p o w a ż n y pogląd o filmie. (Nie o sztuce filmowej, lecz o filmie).

Z „Wniosków do wyciągnięcia” p. Wojciechowskiej narzuca się jeden, generalny: uczniowi nie wolno samodzielnie wnioskować ani myśleć, bo jeszcze nie dorósł, nie potrafi, nie posiada wiedzy, ani erudycji. To już zupełnie smutny wniosek, niesprawiedliwy, któremu zaprzeczają wypowiedzi uczniów.

MLODZIEŻ MA GŁOS

Jola Sobczak,
uczennica klasy ósmej (II)

str
4

odgłosu

ne grozy. Nie chcemy widzieć w rzeczywistości tego, co przeszli i co stracili nasi rodzice. Niech to dla nas zostanie historią... — pisze Ewa Szczepańska, również uczennica klasy ósmej (XIX LO).

Być może, zasługą zwykłego przypadku jest fakt, że na ogółem dwadzieścia nagrodzonych prac, osiem omawia dokument Bossaka i Kazimierczaka „Wrzesień 1939” (tak było). Nie znamy jeszcze wyników badań socjologicznych dr Zygalskiego, który opracowuje wszystkie prace konkursowe, ale pobieżnie przerzucając otrzymane materiały, stwierdza się, że większość uczniów zajmowała się filmami o tematyce wojennej.

.... Tak, wojna niszczy wszystkich: wygrywających i przegrywających... Pokazując te wszystkie obrazy, realizatorzy zmusili nas do przynajmniej, że wojna to wielki absurd. Nie chodziło im o przyczyny wojny, lecz o samą wojnę... Chcieli, abyśmy wojnę zniechodzili... Aby tego dokonać, idą drogą „miłości”. Wiedzą, że miłość to największe uczucie człowieka. Człowiek zawsze dąży do miłości. A wojna nie pozwala być szczęśliwym, a więc i kochanym. Np. wizyta Piotra w rodzinie Moniki Zumpe. Widzieliśmy tam stado kobiet, którym wojna odebrała ukochanych, a w ogóle mężczyzn. Wymowa tego obrazu skierowana jest do kobiet. Inna uwaga adresowana jest do mężczyzny. Kobieta przeżywa grozę wojny, która dla niej jest dopiero co poznany koszmarem wojny. Szuka więc oparcia w pierwszym lepszym mężczyźnie, którego wcale nie zna.

Szkola Podstawowa i LO,
Sienkiewicza 46) o „Kolorowych pończochach” J. Nasfetera.

„Najsilniej przecież odczuwamy te filmy i książki, których bohaterowie mają w sobie chociaż część naszej osobowości, naszych myśli i poglądów. Zdaje się nam wtedy, że to są nasi przyjaciele, potrafimy się nawet do nich przywiązać. Przeżycia dziecka, z pozoru blade, zostały tu zaliczone do czegoś niezmiernie ważnego. W tym właśnie leży zasługa reżysera, że przedstawił sprawy nie tak, jak je



widzą dorośli, ale z punktu widzenia dziecka. A przecież świat dziecka, świat jego myśli jest bardzo skomplikowany. Nadmierna wrażliwość powoduje, że blade może dla dorosłych sprawy urastają do miary wielkiego problemu. Dlatego sprawa kolorowych pończoch staje się dla Matyldy problemem, który bardzo głęboko przeżywa i który doprowadza ją do zamiaru odebrania sobie życia. Dlatego Jadzia nie chce wrócić do szkoły, gdyż głęboko odczuwa wrogość otoczenia. Mało jest dorosłych, którzy potrafili zająć się do poziomu umysłowego dziecka, zrozumieć je, odczuć jego sprawy. To jest właśnie tragiczne, że zarówno Matylda, jak i Jadzia były samotne nie miały się komu zwierzyć ze swoich niedoli. Rodzice nie umieli być dla nich przyjaciółmi. Mieli własne sprawy, byli tacy obcy i tacy obojętni...

Takiej oceny z pewnością nie zawierały recenzje krytyków, uderza w niej własne, subiektywne odczytanie filmu przez dziecko. Przy okazji zwróćmy uwagę na jeszcze inny aspekt — czy wypracowanie Joli nie podsuwa żywego, wciąż aktualnego tematu na lekcję wychowawczą? Wszędzie spotyka się Matyldy i Jadzi, które potrzebują dla siebie pomocy.

„Z wielu filmów wojennych, jakie widziałam, a które wszystkie głęboko mną wstrząsnęły, największe wrażenie zrobił na mnie „Wrzesień 1939”... Zapewne wzruszył głęboko wszystkich tych, którzy przeżyli tragedię wojenną. Dla nas, którzy szczęśliwie urodziliśmy się po wojnie, jest to już tylko historia. „Nigdy więcej wojny” — to hasło nie nam nie mówi, gdy widzimy je wypisane na murze jakiegoś domu lub na plakacie, ale sam o przechodzi do głowy, gdy patrzy się na obrazy pel-

brażnie jest łatwy w przystosowaniu, komunikatywniejszy, a przede wszystkim atrakcyjniejszy od wielu pozycji literatury. Naturalna tendencja filmu przejawia się w wychwytywaniu tematów aktualnych, fotografowaniu życia na gorąco. Wcześniej, niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie kultury znajdują w filmie ujście wszelkie zmiany kursów umysłowych, społecznych, obyczajowych, nawet politycznych. Zanim dotarła do nas antypowieść Butora, zdążyliśmy obejrzeć antyfilm Resnais'a. A poza wielotematyczną literaturą, film zaznajamia z aktorstwem, scenografią, muzyką, fotografią.

Szkola uznaje książkę, uznaje teatr, dwa tradycyjne typy lektury, które stanowią jednocześnie tradycyjny schemat, służący do sondowania poziomu kulturalnego i intelektualnego ucznia. Uczeń ładnie mówi o „Grubych rybach”, uczeń dokładnie przewalkował pozytywizm, Młodą Polskę, o! to jest dopiero uczeń na wysokim poziomie. Jeszcze fragmentek z „Pana Tadeusza” na pamięć — „Li two, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie”, i już zachwyt pełny.

A tymczasem żelazne pozycje repertuaru oklepały się, i Iksińska o „Starej Baśni” Kraszewskiego powiada, że to „sakramencka pila”, o „Grubych rybach”, że takie tam zgrywanie z „przykleikiem”. I ta sama Iksińska, miast czytać zalecaną i wymaganą „Starej Baśni”, chowa się w łazience i czyta niedozwoloną dla jej wieku (czternaście lat, ósma klasa) książkę Hemingwaya, „Za rzekę, w

osoba jest zapaloną kinomaną, jak wszystkie jej przyjaciółki z klasy, a tych ma oczywiście sporo.

„PODRYWACZE SĄ SWINIE...”

Sposoby na omijanie przepisów znane są ogółowi. Trudno też znaleźć radykalne środki zaradcze przeciwko tej wdzięcznej, narodowej cesze. Iksińska czyta ukradkiem „Trędowatą” — i nie na to nie poradzi. Iksińska musi przejść przez jakiś odpowiednik Mniszkówny, aby później z lekceważeniem odrzucić Zafińskiego. Iksińska pochłania jeszcze Caldwell. Może ty więc zabierasz jej książkę, zarządzasz wymówki, awanturę? Nie pomoże. Iksińska wynajdzie setkę sposobów, aby Caldwellą dokończyć. A spróbuj porozmawiać z Iksińską, jak z równorzędną sobie partnerką, że poza tymi „świństwami”, którymi się najprawdopodobniej ekscytuje, Caldwell zawiera inne wartości. Pomoże, nie pomoże, w każdym razie umożliwisz Iksińskiej właściwe odczytanie książki.

Analogicznie z filmem. Moja kinomanka przechodzi w wyiekami i opowiada (naturalnie w zaufaniu) — „Byłam na „Podrywaczach”! Rany, ale film! Ale to swinie te chlopaki!” — i po krótkim zastanowieniu: „To głupota, to całe dozwoleństwo. No bo co? Ze się całują? Mało to się widzi różnych rzeczy codziennie na ulicach? Po brnach? Zresztą, już w podstawówce wie się o pewnych sprawach. Oglądamy film w telewizji, na ekranie zaczynają się całować, a mama krzyczy — Zamknij oczy! W tej chwili zamknij oczy! — Przecież to śmieszne, fałszywe” — A za moment — u nas też są tacy podrywacze... I takie głupie dziewczyny. Czego oni, do licha, szukają? Czego w ogóle chcą? Ja tego nie rozumiem...”

Kto zna treść francuskich „Podrywaczy”, ten ze zgrozą zawoła: „Czternaście lat dziewczynka na takim filmie? Toż to deprawacja!”

Deprawacja? Dla jednych może tak, dla innych może nie. Ale i dla pierwszych, i dla drugich, którzy obejrzą sobie nieprawie film, należałoby dać parę słów wyjaśniających. O! chociażby symptomy matyczne pytanie nader młodej, ale wcale sensownej kinomanki.

Falszywy wstyd szkodzi. Na lekcjach biologii wyklada się tej samej nieletniej młodzieży darwinowską koncepcję ewolucji człowieka, wyjaśnia tajniki rozmnażania, lekcje religii wycofano ze świeckiej szkoły, a przy filmach, książkach pruderyjne, wieloznaczne milczenie, które przecież młodzież zauważają.

W jednym z numerów „Odgłosów”, p. Ewa Nurezyńska szeroko omawiała potrzebę organizowania Dyskusyjnych Klubów Filmowych przy szkołach.

Tej potrzebie należy szybko

dyczno-badawczego do pracy z filmem wśród młodzieży i nauczycieli — urzędowo stwierdza się, że „postanowiono zacząć od zorganizowania Klubów Dyskusyjnych Filmowych w szkołach”, po czym następuje 11 (jedenastu) wyszczególnień wraz z nazwiskiem odpowiedzialnego pedagoga.

Tak było zaprotokołowane w dniu 7 września 1961 roku. Mamy obecnie koniec marca — i co?

Co słychać w 11 Szkolnych Klubach Filmowych? Jakich nowiny z Dyskusyjnego Klubu dla Nauczycieli, który miał powstać przy Domu Kultury Nauczycieli, a którego organizacją zajmują się... (nie podaje nazwisk, zostawiając możliwość szybkiej rehabilitacji).

Z jedenastu, pięknie zakonotowanych w sprawozdaniach żyje kilka klubów: w Międzyzakładowym Domu Kultury przy Elektrociepłowni, w Domu Kultury Dzieci i Młodzieży — dzielnica Górna, Domu Kultury — Bałuty, w MDR oraz w jednej szkole — XVIII LO. Dlaczego żyją w domach kultury a w szkołach nie? Prawdopodobnie dlatego, że w DK są etaty i pensja dla instruktora, w szkołach nie.

W 64 szkołach podstawowych zainstalowano własną aparaturę projekcyjną, przez szkółko do jej obsługi nauczycieli, i nawet dla filmów oświatowych w wielu z tych szkół, sprawnie działa starszy system: operator z Filmoskopy klasy na salę (hulaj dusza, matmy nie będzie, jeszcze bajeczka, proszę pana) i leci filmy jeden za drugim od Sasa do lasa, ten o życiu wazek, ten o piorunach, inny o drożdżach (jeszcze bajeczkę, proszę pana).

Rzecz rozbija się o brak funduszy na opłacenie nauczyciela, obciążonego dodatkową funkcją obsługiwaną aparatu. Przy filmie fabularnym sprawa komplikuje się bardziej, przy klubie dyskusyjnym jeszcze bardziej, ponieważ wtedy trzeba stracić kilkadziesiąt godzin na wyświetlenie filmu i pokierować dyskusją. Kuratorium postanowiło wybrnąć z impasu, wkładając kluby w zakres kół zainteresowań, za których prowadzenie nie nauczyciel jest wynagradzany umową za godzinę efektywną (14 złotych). Można się jednak obawiać, że to rozwiązanie zostanie przyjęte tylko zło konieczne, zaś wówczas owe godziny trudno posadzić o „efektywność”. A gdyby zwolnił samorząd szkolny na współpracę z pedagogiem? W ramach politichizacji ucznia się obierania ziemniaków, reperowania koreków, można by nauczyć i obsługi kamery filmowej. Bo, że nauczyciel przeciętny jest pracą, jaką dla wszystkich oczywiste.

Akcję Klubów Filmowych zainicjowało Kuratorium. Akcja nowatorska, stąd ażi ława, ani prosta. I Krakowski natychmiast nie zbudowano. Aby więc nikt nie zapomniał, i nie okazać się nie-

cień drzew”.

Na Uniwersytecie Łódzkim studentom socjologii wykładowcy kilkakrotnie polecali film jako lekturę uzupełniającą tematy seminaryjne. Zdarzył się między innymi i amerykański western (tak, proszę państwa, western!). W samo południe, bodajże przy omawianiu zagadnienia integracji osobowości.

Dlaczego by więc nie w szkole, właśnie dla unowocześnienia form lekcyjnych, dla pełniejszego wychowania kulturalnego ucznia — nie wykorzystać właśnie filmu?

„DOZWOLONY OD LAT...”

W przynajmniej 90 przypadkach na możliwych 100

WNIOSKI

Konkurs dowiódł, że młodzież próbuje urabiać swój indywidualny, własny stosunek do filmu, że interesuje się nim głębiej niż się ją posądza. Film nie jest tu jedynie dwugodzinna rozrywką, lecz nauką, wzbogaca osobistą kulturę, pozwala urabiać światopogląd w jak najszerszym tego słowa znaczeniu. Istnieje potrzeba szerokiej r o z m o w y, która pomogłaby młodzieży zweryfikować intuicyjne, niedopracowane poglądy, zastąpić je rzeczywistą wiedzą o filmie. Brak tego elementarnego wskaźnika jest nie do pomyślenia na dłuższą metę, i trudno mówić o szkole i wychowaniu społecznym bez jego uwzględnienia.

Nie rezygnując z zasłużonych tradycji, można po prostu uwspółcześnić dekoracje za jeden z jej rekwizytów przyjmując film. Czyli — zużytkować dziedzinę kultury, dotąd szkaradnie pomijaną, zaniebaną i nie wykorzystaną. Film fabularny powinien nareszcie stać się, tak jak książka, uzupełnieniem tematycznym lekcji. Jako gatunek sztuki antyelitarny, antyekskluzystyczny, pobudzający bezpośrednio wy-

klaźduła wieku — dozwolony od lat... to profilaktyka bez pokrycia... „W „Pionierze” nie wpuszcza, z mora taka jedna, ale w „Bałtyku” wpuszcza” — zwierzała mi się pewna nader młoda osoba. „Ma się te sposoby... twarz się przesłoni kołnierzem, wspina się na palce, prawie zawsze udaje się. A jak w telewizji? Jest film niedozwolony dla młodzieży to się też przekonam mamę, że nie ma w nim nic strasznego, albo się troszeczkę pochlipie — i dobrze”. Młoda

zadośćuczynić — wolamy wielkim głosem, tym większym, że całkowicie „profilomowe” stanowisko zajmuje Kuratorium (obawa przekroczenia kompetencji szwajcarskiego kopyta automatycznie upada). Szkoła jednak ten, że w oficjalnym wykazie kół zainteresowań dla szkół średnich miasta Łodzi figuruje i (jedno) kolo filmowe. W sprawozdaniu, też oficjalnym, z „zebrania w dniu 7 września 1961 r. w sprawie organizacji ośrodka meto-

sprawiedliwym wobec osób ołarnych i zapalonych, jak na przykład mgr Pawłowska z Kuratorium czy p. Wrzesniewski z DK przy Elektrociepłowni, odstakujmy w nie malowane drzewo, uzbrojmy się w cierpliwość. Na pewno niedługo otrzymamy konkretne sprawozdanie z zorganizowania i działającego ośrodka metodyczno-badawczego dla pracy z filmem wśród młodzieży i nauczycieli.

EWA OSTROWSKA

NOTATKI

Z niedawnej przeszłości

Jadwiga Jazdzynska

„Towarzystwo wzajemnej pomocy i prawidłowego grzebania”

Sprawa handlu kobietami i dziećmi zaprzęta opinię społeczną Europy tak dalece, że w układzie międzynarodowym, który stanowił część Traktatu Wersalskiego, znalazł się specjalny artykuł nr 23. Zgodnie z jego brzmieniem Liga Narodów przejąć miała ogólną kontrolę nad konwencjami związanymi z handlem żywym towarem.

za granicą. Jest widoczne, że handel ten byłby jeszcze rozleglejszy, gdyby rząd Polski nie zapoczątkował już szeregu energicznych zarządzeń, aby go stłumić.

Jeden z przedstawicieli komitetu rzeczoznawców ustalił, że do Warszawy przybywa każdego miesiąca 3-4 handlarzy z Argentyny, Kuby i Meksyku.

Miejscowy agent poznawał ich z dziewczętami, które mieli agenci przewozić na kontynent amerykański. Jaka droga?

Doktor W. Chodźko, znany w latach międzywojennych działacz społeczny pisał w broszurze pt.: „Handel kobietami” (W-wa, 1935):

„Gdyby jechał on (handlarz — przyp. wł.) z Warszawy do Paryża paszport byłby sprawdzany przez urzędników polskich na granicy polskiej. Miał on jednak paszport fałszywy i wywożona dziewczyna również, ryzykowała więc zaarrestowanie na granicy. Aby dostać się z Polski do Gdańska trzeba tylko mieć dowód tożsamości... Przy

gony są na tej przestrzeni zamknięte na klucz i Polacy nie sprawdzają paszportów. Polski urzędnik może zawsze schwytać pasażera, jeżeli paszport jest fałszywy. On się na tym zna. Co do Niemców, nie sprawdzają oni również dokładnie paszportów polskich i oglądają tylko wizy”.

Ofiara, którą wywieziono z Polski do Argentyny, wpadła w ręce organizacji „Varsovie”, a szczegółowiej — w ręce „Warszawskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy i prawidłowego grzebania”. Ta dziwaczna nazwa wzięła się stąd, że gmina żydowska z Buenos Aires, dokładnie poinformowana o prawdziwym charakterze i źródłach zysku „towarzystwa”, odmówiła członkom tej bandy prawa grzebania na cmentarzu.

Stowarzyszenie „Varsovie” było legalnie zarejestrowane, mogło więc działać jawnie. Na skutek protestu posła polskiego z roku 1928, banda zmieniła sztyl i przyjęła z kolei nazwę „Związek Migdał”, od nazwiska pierwszego prezesa.

Cała ta historia wygląda z pozoru nieprawdopodobnie. Bo i jakże — w wieku XX, w okresie rozwoju środków łączności i wzrostu opinii publicznej — haniebny proceder handlu żywym towarem? Dlaczego?

Szef Biura Dochodzeń policyj z Buenos Aires, Julio Z. Alsogaray pisze w książce „La prostitución en Argentina” (Paryż 1935), że handel białymi kobietami w Argentynie miał poważny wpływ na życie polityczne tego kraju. Pieniądze zarobione przez handlarzy szły także na wielkie łapówki, demoralizowały

administrację państwową, a nawet partie polityczne. W rezultacie Argentyna aż do roku 1935 nie podpisała ani jednej konwencji w sprawie walki z tego rodzaju procederem. Właśnie dlatego, że ołbrzymie zyski handlarzy zasilały kieszenie przedstawicieli władz.

Powiedzieliśmy już — Polska stanowiła jedną z głównych baz dla handlarzy. Oczywiście — porównanie gwałtem należało raczej już do przeszłości. Stosowano specjalne metody nakłaniania do wyjazdu, obciążano zatrudnieniem w trupach kabaretowych, operetkach, ludożernych konkursach piękności, łatwością życia w Ameryce, gdzie dolary miały leżeć na ulicy. W stosunku do dziewcząt pochodzenia żydowskiego czynienie wykorzystywano obyczaje religijne. W Polsce, Rumunii i na Bałkanach utrzymywali się zwyczaj, oparty na Starym Testamencie, zawierania tzw. małżeństw rytualnych. Takie małżeństwo nie wymagało wcale dokumentów, zawierano je na podstawie formuły, uswieconej bardzo starą tradycją.

Najskuteczniejszym jednak środkiem spórów wszystkich okazywały się ogłoszenia nie latniących firm. Oferowały one świetne posady. Ryba szybko chwytala przynętę, posady nie było, przedsiębiorstwo likwidowano „nagle”, ofiara kończyła tam, gdzie sobie życzyła handlarz.

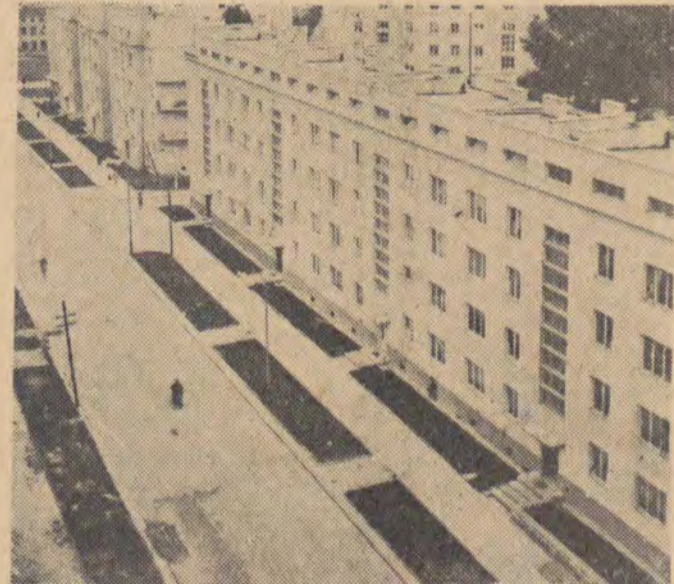
Nietrudno domyślić się, że Łódź stanowiła wyjątkowo dobre żerowisko dla międzynarodowej szajki. W naszym mieście nie brakowało w międzywo-

jennych latach dziewcząt bez środków do życia, zrozpaczonych i zrozpaczonych, gotowych pojechać chociażby i na koniec świata w poszukiwaniu pracy.

Łódź „Robotnik” (nr 54, 28. II. 1930) podał do wiadomości, że w pociągu międzynarodowym schwytano Józefa Dancygiera, który podawał się za łódzkiego fabrykanta. Towarzyszyła mu wierna żona. Para ta przedstawiała się swoim ofiarom, jako bezdzietne i bardzo bogate małżeństwo, które marzy o adoptowaniu dorosłego już dziecka płci pięknej. Dziecko pragnęło zawieźć do Nocy, gdzie zamieszkuje na stałe.

Dalsze śledztwo ujawniło dosyć niezwykłe powiązania Dancygiera. Pracował on na terenie Łodzi dla obywatela amerykańskiego M. Beskina, który wywoził z Polski około 300 dziewcząt. Beskin wybrał im paszporty z podpisem — konsula USA, Hella. Na każdym paszporcie zarabiał Hall 500 dolarów. Kiedy rozpoczęły się szczegółowe badania pan konsul otrzymał urlop, wyjechał do Stanów Zjednoczonych i — oczywiście — nie wrócił.

Nasze Ministerstwo Sprawiedliwości, zaniepokojone tego rodzaju sytuacją zdobyło się na... okólnik, zalecający akcję uświadamiającą wśród dziewcząt. Prasa rządowa bardzo chwaliła okólnik i tak w ogólnym hałasie zapomniano o tym, że głównym winowajcą w procesach o handel żywym towarem była nędza, która spychała na margines życia tysiące dziewcząt.



Z cyklu: NOWA ŁÓDŹ Fot. E. Kudaj

Dokończenie ze str. 1

chuchaność, bo tamten się przechwalał. Kazeł tego nie nawiądy. A wszystko panie przez to, że ma d... nie ojca. Inny by już dawno coś poradził. A ten tylko by dzieci robił.

Mały Kazeł patrzył na ojca chłodno. W jego pamięci zostanie chyba długo obraz ojca który według matczyne-go sądu jest d... Kto wie, może obydwoh jednakowo nienawidzi. Jednego za to, że spłóził go w zgnieję sułerenie, drugiego że nazwał go śmierdzielcem.

Idąc pod wybrane adresy spodziewałem się, że spotkam dzieci. Zabrałem z sobą gryłazowe cukierki. Wyciągałem

zdradliwie. On naprawdę żyje. Dzieli łożę z matką. Matka wczoraj wróciła z sanatorium. Za dwa miesiące będą dwie woskowe figury na strychu. Ta młoda kobieta stojąca przy wozku dziecęcym to siostra. A to maleństwo — to jej dziecko. Ma dwa lata. Na razie zdrowe. Ale to jeszcze nie wszyscy. Szwagier pracuje na nocnej zmianie. Ten jest silny, grzeczny go nie złamie. Młodszy brat leczy się w sanatorium. Trzy na siedem osób chore. Notuję to kronikarzu. I tak to zostanie w twoim notisie. Przyszledeł nie w porę. My już mamy wszyst ko za sobą. Nasz strych wkrótce będzie suszarnią bieleziny. Tylko matce zostają dziury w płucach i ojciec wyniesie stąd resztki swego życia. Może im jeszcze zdoła pomóc powietrze i słońce? A mała Anka na pewno nie oędzie pamiętała przekłętego strychu i... dziadków.

Notuję drugie pytanie! Czy

oknem jedno dziecko. Pogrzeb nie kosztował drogo. Dziecko było małe. Zakozyli siatkę i wyprowadzili się stąd.

— A te dziury w siatce?

— To już zrobiły moje dzieci. W lecie jak wychodziłam po zakupy zamykałam dzieci same w domu. Z wytwórni wędlin dym wdierał się do mieszkania. Dzieci ze strachu otworzyły okno i zaczęły kopać nogami w siatkę. Była przeżarta rdzą. Więc ją prze-darły. Na szczęście przyszedł w porę. Inaczej poleciałaby na dół. Od tej pory zamocowałam okno drutem. Pał jest pewien, że nās w tym roku stąd wyniosą?

— Nie będą Tobili z ge-by...

— Ja też tak myślę. Jestem przecież na środku listy.

Miałam dostać już dawno nowe mieszkanie. Powiedział mi na Hutoru — niech pani

Sasiada, który miał lepsze mieszkanie na strychu przekwaterowało w styczniu. Do stał na Włocławskiego duże mieszkanie. Chwali się, że w czasie remontu zrobili mu z jednego pokoju z kuchnią, dwa pokoje. Było ich trzy osoby. Przed siedmiu laty przyszli do Łódzi ze wsi. Zapobiegliwi szybciej przetarli drogę do sumień urzędników. Do opuszczonego przez nich lokalu wmełdowali się już jacyś nowi. Też trzy osoby. Dla jednego było to złe mieszkanie, dla drugich też nie będzie dobre. Kto wie może ci nowi szybciej dostaną nowy lokal niż my? A to tylko dlatego, że człowiek nie jest nachalny. Czekaj na decyzję władz, bo i co greszają ma robić. Obok tamtych nowych lokatorów mieszka na strychu znany łódzki aktor z żoną aktorką i małym dzieckiem. Aktor potrafi grać na scenie, ale nie w Kwaterunku. Dlatego i jego pomijają. Tak się nigdy nie poprawi, jeżeli na wykwaterowane strychy pozwoli się wprowadzać nowym ludziom.

Notuję trzecie pytanie: czy godna najwyższego uznania decyzja o wyprowadzeniu ludzi z dna, jest konsekwentnie realizowana? Czy komórki i poddasza naprawdę pozostają puste?

Fakty o których piszę, decyzją władz partyjnych Łodzi zainkna za rok, lub dwa. Pamięć ludzka potrwa jednak dłużej.

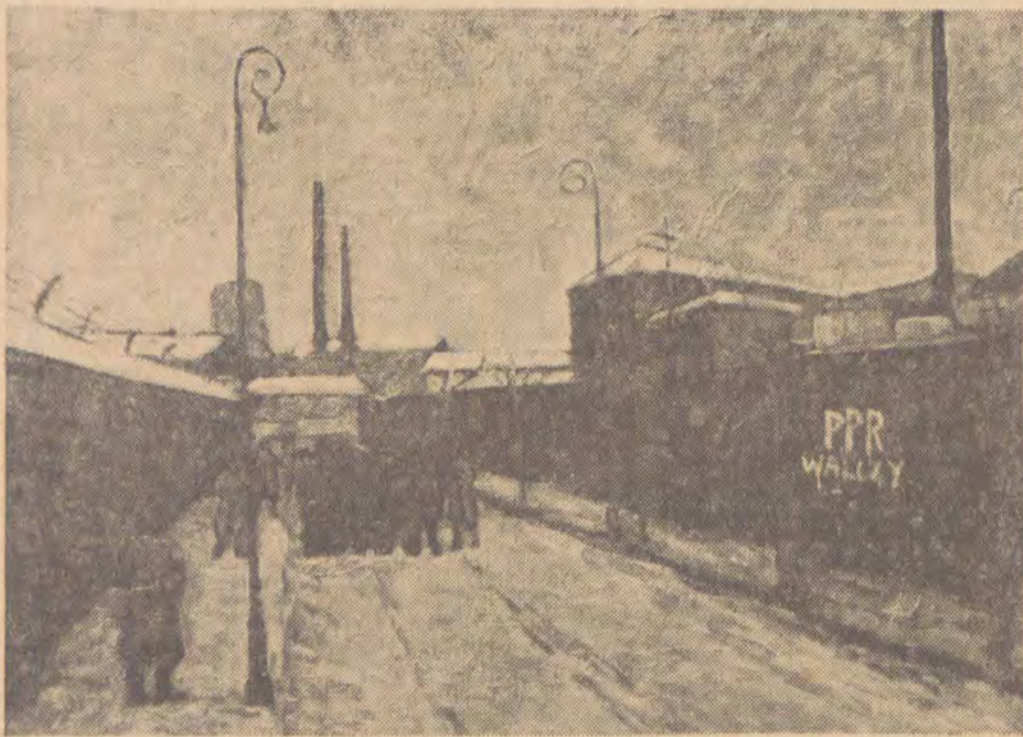
Zgodnie z przyrzeczeniem dotrzymuję słowa moim rozmówcom. Nie wymieniam ich nazwisk. Myślę bowiem, że nie tak prędko zapomną o trudnym czasie, kiedy przychodził do nich dziennikarz z kłeszenia pelną cukierków. Brak mi dokładnych danych, nie wiem ilu ludzi opuści w najbliższym czasie sutereny, piwnice i poddasza. Mówią, że ponad 10 tysięcy. To zresztą łatwo obliczyć i pewnie obliczyli sprawni urzędnicy. Jak jednak obliczyć bagaż, który ze sobą przynoszą? Czy wyzdrowieją chorzy od zimna i ciemności? Czy zepsute własnie przez piwnice i sutereny stosunki ojca z synem, poprawią się automatycznie w nowym mieszkaniu? Kiedy pogodzi się Kazeł z synem lekarza, kiedy zainkna narosły w nim kompleks?

Chciałbym więc, żeby ludzie, nowi sąsiedzi rodzin wyrwanych dopiero co z zatęchłych podwórek i stróżówek, leżących poniżej poziomu Łodzi, nieśli im przyjacielską pomoc.

BOGUSŁAW HOLUB

odafosur

str 5



Garboliński Wiesław — „Aresztowanie” — olej 100 x 80.



Józef Skrobiński „Getto” — olej 98 x 66



Krawczyk Jerzy — „Portret Nowotki” — olej 140 x 95.

BERNARD KEPLER

Nie upłynęły jeszcze dwa miesiące od momentu, gdy w łódzkim środowisku plastycznym padł projekt zorganizowania okolicznościowej wystawy poświęconej XX rocznicy powstania PPR, a już doczekaliśmy się realizacji tej cennej inicjatywy. Realizacji, która przeszła najmniejsze oczekiwania jej organizatorów — Łódzkiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków i Komitetu Łódzkiego PZPR.

Nie waham się powiedzieć, iż ekspozycja w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza — wystawa „XX-lecie PPR — malarstwo, grafika, rzeźba”, jest w naszym mieście ewenementem, wydarzeniem zupełnie wyjątkowym, ba, do pewnego stopnia nawet sensacyjnym. Na czym polega właściwie niezwykłość tej wystawy, utrzymanej en gros bądź co bądź w tradycyjnej konwencji sztuki realistycznej, dalekiej — jak wiadomo — od nowatorstwa w sferach artystycznych wypowiedzi. Powyższe sformułowanie samo dyktuje wniosek — wartości treściowej, ściślej mówiąc aktualności, wymowa ideowa i polityczna stanowią o wysokiej randze ekspozycji.

W Warszawie z okazji obchodów XX-lecia PPR czynna była niedawno podobna wystawa. Nieodparcie nasuwa się porównanie z łódzką ekspozycją. Tamta, chociaż niewątpliwie interesująca, miała jednak — całkiem odmienny charakter i profil artystyczny. Była właściwie retrospektywą o skromnych wymiarach i dość przypadkowych i luźnych związkach zarówno formalnych jak i treściowych. W zestawieniu z nią, łódzka wystawa prezentuje się bardziej okazale, kompozycyjnie jest bardziej zwarta i jednolita, a co najważniejsze jest wynikiem zamówienia społecznego; pamiętajmy bowiem, iż łódzcy plastycy tworzyli swe prace z określonym przeznaczeniem — właśnie na tę wystawę.

Śledząc do bogatej kroniki przeszłości PPR, będącej niewyczerpanym źródłem tematów, pokazali sztuki pulsującą życiem, świadomą swego znaczenia, w pełni społecznie zaangażowaną, sztukę glorifikującą człowieka, jego życie, pracę i walkę. A to się przecież liczy. Dla większości artystów, wystawa stała się okazją do wyłożenia swego credo politycznego, do samookreślenia; stała się jeszcze jedną próbą odnalezienia właściwych środków obrazowa-

nia; jest wreszcie holdem złożonym pamięci partii i ludziom z nią związanym.

W sali wystawowej Ośrodka Propagandy Sztuki przewija się przed oczami widza — nieczym w barwnym filmie — cała historia partii. Każde płótno, rzeźba czy grafika, to jej odrębna karta. Znajdujemy tu właściwie pełny obraz historycznej drogi rozwojowej PPR, znaczonej etapami ucisku, walki zbrojnej, konspiracji, wreszcie zwycięstwa. Wśród około 75 wyrównanych na ogół prac, ilościowo na plan pierwszy wybija się malarstwo. Z kolei w tym gatunku przeważają prace odtwarzające heroiczną walkę zbrojną partii z okupantem. Grozę hitlerowskiego terroru, czasy okupacji, obozów koncentracyjnych i getta, przypominają pełne prawdy i siły oddziaływania płótna J. Skrobińskiego („Getto”, Zdobytka uliczka. Tym razem — ręce do góry!), B. Liberskiego (Radoszecz, Łódź 1943), K. Liberskiej (Tu ginęli), J. Krawczyka (Birkenau), H. Korbiak (Hasło na murze), W. Garbolińskiego (Getto, Aresztowanie). Wiele można by jeszcze mnożyć przykładów. Równie bogato reprezentowana jest część wystawy poświęcona działalności konspiracyjnej i

partyzanckiej PPR. Dla zadokumentowania ciągłości linii rozwojowej polskiego ruchu rewolucyjnego wystawa prezentuje także kilka płócien z okresu sprzed 1939 r. Ostatni akt historii partii — czasy powojenne — przemawiają takimi obrazami jak: „Nadanie ziemi” (J. Krawczyk), „Wyzwolenie” (B. Szajdzińska-Krawczyk) i in.

Zdecydowana przewaga prac malarskich nie pomniejsza wcale rangi artystycznej i ideowej mniej liczone reprezentowanych grafik i rzeźb. Bardzo ekspresyjna grafika — choć może mniej czytelna, a co za tym idzie bardziej elitarna — przewyższa malarstwo precyzją wykonania i doskonałością formy. Prace Kędzi, Liberskiego, a zwłaszcza Grzybowskiego raz jeszcze potwierdzają wysoką klasę polskiej grafiki artystycznej. Dwie pełnopostaciowe rzeźby figuralne stanowią doskonałe pendant do całości wystawy.

Zastosowanie przez poszczególnych artystów odmiennych rozwiązań kompozycyjnych, fakturalnych i kolorystycznych rozprasa muzealną nudę i ożywia ekspozycję wyjątkowo starannie i przejrzyście zakomponowaną.

„XX-lecie PPR malarstwo grafika rzeźba”

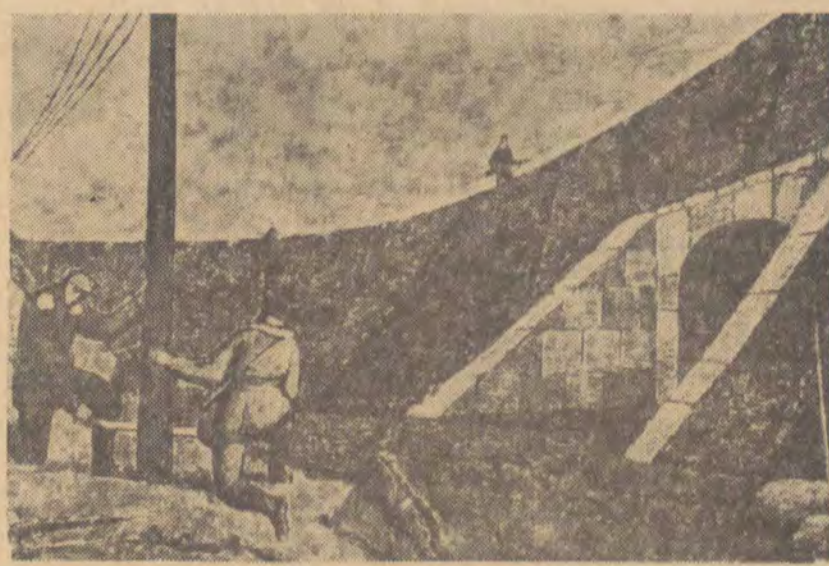
Zdjęcia: A. Idziński



Liberski Beonon — „Rok 1943” — linoryt 52 x 36.



Grotto-Słepikowski Eugeniusz — „Śmierć Hanki Sawickiej” — olej 76 x 55.



Sikorski Zdzisław — „Sejanie słupów telegraficznych” — olej 92 x 73.

Sedno rzeczy MARIAN PIECHAL Zabawa na szczytach

Na jakich szczytach? Na szczytach literatury, jeżeli za takowe uznamy szpalty pism centralnych, to znaczy stołecznych. „Wszyscy tam oni w jedną trąbę dmuchają i stąd ten zastój i martwa cięsza w naszej literaturze” —

powiedział mi niedawno pewien znajomy nauczyciel, spotkawszy mnie w księgarni i kupując świeżo wyszłą książkę pt. „Mickiewicz i jego współcześni”. „Ot, ci współcześni Mickiewicza, jak romantycy i klasycy, to potrafiliby zrobić ruch — ciągnąć dalej — widocznie mieli o co brać się za łby. A dzisiejsze pokolenie to co?”

I tu wlepił wzrok we mnie, czekając odpowiedzi. A nie doczekawszy się, rzucił na

pożegnanie z pogardliwym uśmiechem: „Zabawia się tapaniem much na własnych nosach”.

W drodze z księgarni do domu zastanawiałem się, czy rzeczywiście tak jest, czy czasem nauczyciel mój nie ma racji. „Tematy poruszane blahe, to i dyskusje wasze są blahe” — dźwięczało mi natrętnie w uchu jedno ze zdań mego sympatycznego rozmówcy. Zaczęłam sobie przypominać, o czym to pisała ostatnio prasa literacka czyli o czym dyskutowano na szczytach. I stwierdziłam ku własnemu pocieszeniu, że zabawa była wcale nielicha, bo nie na liche tematy.

No, chociażby w „Przeglądzie Kulturalnym” na temat krytyki literackiej i jej roli w stosunku do autorów z jednej strony, a w stosunku do szerokiego rzeszy czytelników z drugiej. Młody krytyk, Andrzej Kijowski, zarzucił współczesnej prozie

polskiej, że jest mało odkrywczą i wtórną w porównaniu z prozą innych narodów, zwłaszcza na Zachodzie. Odpowiedzieli mu we własnej obronie zgodnym chórem Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Brandys i Wilhelm Mach. Dodatkowo wsparli ich postronny obserwator literatury, działacz społeczno-polityczny, Wincenty Kraśko, gromiąc młodego krytyka za programową niejaką u niego niechęć do prozaików i jego do nich złośliwą impertynencję w artykule pod wymownym tytułem: „Wstyd mi za Kijowskiego...”. W następnym numerze „Przeglądu Kulturalnego” czołowy krytyk współczesny, Kazimierz Wyka, popart całkowicie Kijowskiego i jeszcze od siebie dodał to i owo, rozszerzając znacznie całą dyskusję na inne także gatunki i rodzaje literackie, czyniąc z niej zagadnienie generalne.

Włączyli się następnie do niej Jan Kott, Jerzy Putrament, Stefan Żółkiewski, Artur Sandauer, a nawet Antoni Słonimski, przypinając sobie wzajemnie różne łatki i stosując nieraz nieoczekiwane sztychy. I tak Słonimski o przywódce awangardyzmu w poezji współczesnej powiedział: „Od przybytku głowa nie boli, ale od Przybosa boli”. Jan Kott o tymże Przybosiu, że „jest to postać jednocześnie heroiczna i śmieszna”. Przy okazji przyszedł Jerzemu Putramentowi, pisząc o nim: „bardzo mi trudno przypuścić, że Putrament kiedy pisze o rybach, wyposażony jest o wiele mniej w rozum teoretyczny, niż kiedy pisze o literaturze — osobliście myślę, że jest raczej odwrotnie”. Zaś Putrament odegrał się z kolei na Stefanie Żółkiewskim, wygrywając przeciwko niemu Kazimierza Wykę:

„Wyka to taki wyjątek wśród profesorów, pisze uczennie, a przecież zajmując — jakże to gorzka nauka dla Żółkiewskiego”.

Taka oto zabawa trwa (bo jeszcze jest aktualna i ciągnie się dalej) na szczytach. Dodać jeszcze trzeba dyskusję między uczonymi językoznawcami na temat słowa „India” czy „Indie” (oczywiście moim zdaniem, że „Indie”), także dyskusję między literatami, publicystami i historykami na temat „anarchii polskiej” w naszych dziejach, a będziemy mieli pełny obraz tej zabawy, jednak wbrew memu nauczycielowi, wcale nie na blahe tematy. Ładne muchy, co?

Trzeba tylko, żeby nauczyciele więcej czytali — wtedy nabiorą większego szacunku do tych naszych zabaw literackich poważnych niekoniecznie także i na szczytach.

AKTUAL- NOSCI STARO POLSKIE

Facecja czyli koncept, dowcip, a jakbyśmy powiedzieli dzisiaj — kawał. Ale można też „facecie” tłumaczyć jako „kunszt, śmieszki”, jak to robi stary słownik łacińsko-polski.

Według znakomitego badacza historii literatury Juliana Krzyżanowskiego, facecjonisty-ka staropolska zrodziła się na gruncie kultury renesansowej we wczesnych latach wieku XVI. Powstała jej sprzyjała szczęśliwa okoliczność, że na

dworze królewskim przebywali ludzie, którzy umieli opowiadać i wyrządzać kawały. Słynny autor „Dworzanina” Łukasz Górnicki wychwalał tych utalentowanych „kawałarzy” (znów według naszego współczesnego słownictwa) twierdząc, że zawdzięczają to, co potrafili na nauce ani mistrzom, tylko wrodzonym zdolnościom, „bo się z tym człowiek urodzić musi”.

Za świetnego facecjonistę tamtych czasów uchodził biskup-poeta, Andrzej Krzycki, który opowiadał przy kielichu po łacinie sprasne kawały. Biograf biskupa pragnął go „wybielić” przypisując autorstwo pornograficznych wyrytków jego przyjacielowi Korybut-Koszarzewskiemu, szlachcicu Ziemi Sochaczewskiej, który był „człkiem nad ludzką miarę dowcipnym” — jak pisał prof. Julian Krzyżanowski — i tak miłym królowi oraz senatorom, że nazywano go „Rozkoszą dworu”.

Drugim żartowniśiem był ulubieniec królewski znany ze zjadliwego dowcipu, Staś Galska albo Stańczyk, nadworny błazen, który w rachunkach podskarbiego czyli — jakbyś-

my dziś powiedzieli ministra skarbu — doczekał się różnych przydomków, a między innymi: „morosophus” czyli z głupia frant, filozof pod maską trefniska królewskiego.

Spśród ludzi sławnych z dowcipu nie można opuścić nazwisk wielkich twórców, którzy wymienia Górnicki, a mianowicie: Reja i Kochanowskiego. Ale i król Zygmunt

był twórcą kawałów, który zabrał jednego z Wilna, tam gdzie działa leja (odlewają, fabrykują, uw. m. W. R.), na gardło siedzącego (skazanego na śmierć uw. m.), że był trochę spiż spłasił (ukradł) kazał go wolno puścić mówiąc: „Pierwej wielkich złodziei wywieszać trzeba, potem tych małych.”

Wyjałem tę anegdotę z książki

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Facecje renesansowe

August nie był pozbawiony zdolności do ciętych odpowiedzi i kostycznych dowcipów. Jeden z mniej znanych autorów renesansowych Bieński Budny przytacza w księdze czwartej „Krótkich a węzłowatych powieści, które po grecku zwą apoftegmaty” taką anegdotę o Zygmuncie Auguste:

„Wielcy złodzieje małego włodarza”

Raz takąż mowę przypomi-

ki Juliana Krzyżanowskiego i Kazimierza Żukowskiego-Billip „Dawna facecja polska”.

Urodził na kawały staropolskie jest nieprzebrany, a i popyt nie słabnie. Wkrótce po wspomnianej „Dawnej facecji” ukazała się nakładem Wiedzy Powszechnej „Dawna Polska w anegdotach” Marii i Władysława Tomkiewiczów. I tam znajdujemy wiele facecji związanych z osobą Zygmunta Augusta. Jeden z tych ka-

walów jest anachroniczny tzn. przypisany królowi niemal w sto lat po jego śmierci: W Górze Kalwarii pod Czerskiem (pow. grójecki) na Mazowszu biskup Stefan Wierzbowski zakładając Kalwarię chciał mieć „prawdziwe święte miejsce” i w tym celu postanowił sprowadzić z Palestyny tamtejszą ziemię i wysypać nią drogi i ścieżki.

Wolnomyślny i znany z tolerancji król Zygmunt August miał powiedzieć do biskupa: — Lepiej byćcie zrobili, księże biskupie, gdybyście czarnej ziemi proszowskiej (znanej z urodzajności) kazali przywieźć i użyźnić nią pląski mazowieckie.

Urażony taką odpowiedzią mrknął biskup do stojącego obok kanonika: Jak widzę, król jegomość niewiele lubi rozmawiać o rzeczach świętych.

Dosłyszał to Zygmunt August i rzecze: — Tak jest, mości księże, niewiele, a i to w kościele.

I wreszcie ostatnia anegdota z życia Zygmunta Augusta. Koehliwy król postanowił ożenić się po raz trzeci. Wybrał na Katarzynę, córkę Fer-

dynanda Habsburga, Malżeń-
stwo to jednak nie było
szczęśliwe. Zygmunt August
dość przedko nabrał wstrętu
fizycznego do Katarzyny, która
ponoć miewała ataki epi-
leptyczne, i to w najmniej
odpowiednich chwilach. Mar-
twił się tym srode ojciec kró-
lowej, cesarz Ferdynand. To-
też gdy Marcin Kromer, w
przyszłości słynny pisarz a
podówczas sekretarz Zygmun-
ta Augusta, przybył do Wie-
dnia, cesarz w poufnej roz-
mowie zapytał go wręcz, czy
prawdą jest, że królestwo pol-
skie nie żyje ze sobą, czy
wciąż zatem należy się spo-
dziewać wygaśnięcia dynastii
Jagiellońców. Na to Kromer
odpowiedział krótko: — Nie
wiem, najjaśniejszy panie, gdyż
jestem tylko dziennym sekre-
tarem mego króla.

Na tym kończy. Znany szpe-
recz, autor Przypowieści daw-
nych Polaków (1819) powiada:
„Anegdota, powiastki, uinki
etc. tym są dla towarzyskiego
życia, czym imbir, pieprz,
goździki, cynamon dla potraw;
przemieszane zaostrażają ape-
tyt, lecz potrawa z samych
korzeni utworzona niesmak by
tylko wzniciła.”



Dalszy ciąg ze str. 1

cowany. Płaci się w zależ-
ności od wartości izb i...
możliwości finansowych
reflektanta. Jeśli komuś
zabraknie kilku tysięcy zło-
tych — to właściciel sko-
rzyta z innej formy usz-
czenia długu — odrobku.

Nieprawdopodobne. Niech
włec mówią ci, którzy z
trudem wysypywali osta-
tnie grosze, wierząc, że
znajda za nie przyzwoite
pomieszczenie. Cytuję listy.

„Zwracam się z uprzejmą
prośbą o wyłączenie kon-
sekwencji w następującej
sprawie: kupiłam mieszka-
nie w Aleksandrowie przy
ul. Piotrkowskiej 3 u ob.
Stańczyka za sumę 12 tys.
zł. Zostałam oszukana. Za
inne mieszkanie płaciłam a
inne dostałam. To, w któ-
rym mieszkam jest z pu-
staków, okropnie wilgotne,
a mam dwoje małych dzie-
ci i jedno musiałam oddać
do rodziców, bo tu mi cią-
gle chorowało, a i ja za-
chorowałam na reumatyzm”.
Pod tym listem podpisało
się 5 lokatorów z tej samej
posesji.

Nie jest on jednak wy-
razem nieuzasadnionego
malkontentstwa. Inna z lo-
katorów „domu” przy ul.
Piotrkowskiej 3 informuje,
że za mieszkanie składające
się z dwu izb zapłaciła 30
tys. zł. Niestety, niedługo
mogła się cieszyć swym po-
kojem z kuchnią. Wkrótce
bowiem właściciel znalazł
na jej jedną izbę nowego
amatora i sprzedał mu ją
za 17 tys. zł.

Ze zrozumiałych wzglę-
dów nie podaje nazwisk
autorów listu. Nie mogę ich
harazić na awantury gospo-
darza, który „działków ma
odzież i nikogo się nie boi”.

PECUNIA NON OLET

Dobrze znali starożytni
magiczny wpływ pieniądza
na psychikę ludzi, mówiąc
„pecunia non olet”. Dla
płeniędzy rodzona matka
eksmituje w Aleksandrowie

córkę, wyrzucając ją z
mieszkania wraz z czwor-
ogiem małych dzieci. Nie
ma „biedaczka” innego wyj-
ścia. Wszak zajmuje pokój
z kuchnią wspólnie z ro-
dziną sublokatorów. Szyku-
je więc dla siebie lokal po
córce, posiadającej dwa po-
koje z kuchnią. Z czasem,
ot tak z dobrego serca, do
jednej ze swych nowych
izb będzie mogła przyjąć
następnego sublokatora. Nie
może przecież patrzeć na
ludzi meczących się w tru-
dnych warunkach lokalo-
wych.

A że zniszczyła własną
córke materialnie i fizycz-
nie? Ze jej wnuki nie mają
w czym chodzić, bo córka
z dziećmi musi pokrywać
koszty procesu w sprawie
eksmisji to ob. Adamczyko-
wa właścicielka posesji przy
ul. 22 Lipca nie obchodzi.
Kalkulacja jest oczywista.
Córka płaci tylko komorne,
a nie zapłaciła haraczu od-
stępnego. Interes jest inte-
resem i w sentymenty ro-
dzinne bawić się przy nim
nie można. Tym bardziej
że za ob. Adamczyka stoi
prawo. Posiada przecież pra-
womocny wyrok o eksmisji
II instancji Sądu. Niestety,
tak jest faktycznie.

Nie mnie zabierać głos
w tej sprawie. Nie uczest-
niczyłam bowiem w rozpra-
wie rewizyjnej, jaką prze-
prowadzono na wniosek mał-
żeństwa Kociembów, odwo-
lujących się od krzywdzą-
cej, ich zdaniem, decyzji
Sądu I instancji. Szkoda
jednak, że nie uczestniczyli
w niej również sami zain-
teresowani. Proces odbył
się jedynie w obecności ich
obroncy. Małżeństwo Ko-
ciembowie zgodnie z ich
oświadczeniem, nawet o
terminie rozprawy rewizyj-
nej nie byli powiadomieni.

ŚWIADEK KORONNY

Ob. Adamczyk występu-
jąc na drogę sądową o eks-
misję jako jeden z powo-
dów podała awanturniczy
charakter zięcia i krewkie
zapędy bijące ją, rzekomo,
córki. Rozmawiałam na ten
temat z komendantem Po-

sterunku MO w Aleksandro-
wie, tow. Kwiatkowski.

— Kociemba to spokojny
chłop. Nie pijak, nie chuli-
gan, nie awanturnik. Nigdy
z nim nie mamy kłopotu,
a jego żona? To schorowa-
na kobieta — usłyszałam od
opiekuna spokoju publicz-
nego aleksandrowian. Tego
samego zdania było 14
bliźszych i dalszych sąsia-
dów małżeństwa Jama i Ce-
liny Kociembów, którzy w
tej sprawie złożyli pisemne
oświadczenie.

Niestety, innego zdania
musieli być świadkowie o-
skarżenia, wśród których
znalazł się również ob. Hie-
ronim Stańczyk, brat ob.
Adamczyka, wspomniany już
wyżej aleksandrowski pose-
sjon. Czy można mieć za-
strzeżenia co do jego obiek-
tywności? Z pewnością. Wy-
stępował on przecież nie ty-
ko przeciwko Kociembom,
występował on również w
obronie „świętej” własności
prywatnej, prawa do dowol-
nego nią dysponowania. O-
biektów można mieć rów-
nież i z innego powodu.

W ubiegłym roku sąd po-
wiatowy rozpatrywał spra-
wę testamentu zmarłej żony
ob. Stańczyka, mocą
którego cedowała na swe-
go męża przypadającą jej
w udziale część majątku.
Sąd testament unieważnił,
stwierdzając na podstawie
zeczna świadków i badań
grafologów, że dokument
spadkowy był sfalszowany.
Proszę zatem wybaczyć, ale
w tym świetle ja oświadcze-
nie moge mieć zaufania do
zeczna ob. Hieronima Stań-
czyka.

STREFA WPLYWÓW

Oczywiście, rodziny eks-
mitowanej nawet w Alek-
sandrowie nie wyrzuca się
na bruk. Trzeba jej dać
przynajmniej lokal zastę-
pczy. Jasne, że przy takiej
cenie mieszkań znalezienie
lokalu zastępczego nie jest
sprawą łatwą. Zresztą jak
dla kogo. Tow. Drzewicki
— przewodniczący Prezy-
dium PRN — powiatu łódz-
kiego powiedział, że Prezy-
dium Miejskiej Rady Naro-

dowej mogłoby szukać tak-
iego pomieszczenia z rok i
wątpi czy znalazłoby. Ale
dla ob. Adamczyka nie jest
to sprawa trudna. Jest ona
przecież spowinowacana z
innymi właścicielami.

Opróżniono więc w mig
dla rodziny Kociembów
mieszkanie w domu ob.
Stańczyka przy placu Ko-
ściuszki 24. Sposób był pro-
sty. Jednego z dotychczas-
wych lokatorów domu, przy
placu Kościuszki ob. Stań-
czyk zameldował we włas-
nym mieszkaniu zaś jego
żonę — u jej krewnych. Tak
więc rozbita rodzina za mie-
siąc, dwa lub trzy przyjdzie
do władz miejskich i pod-
niesie raban o przydzielenie
lokalu w obiekcie państw-
owym. Jeśli zaś nie przyjdzie
to znak, że ob. Stańczyk
zaadaptował dla niej na
mieszkanie którąś ze swych
kolejnych obór czy stajni.

Czyżby więc rację miał
główny lokator niniejszego
reportażu, myśląc, że jeszcze
nie ma takiego mocnego,
który by dał mu rady? Fakt
jest przecież faktem, że w
wypadku, w którym nie mo-
ga wskazać władze miejskie,
prywatni gospodarze nie ma-
ją żadnych trudności. Czyż
więc strefa wpływów jest
większa?

NARODZINY MITU

Mit o wszechmocy Hiero-
nima Stańczyka rodził się
w Aleksandrowie powoli lecz
systematycznie. U jego ko-
lebkę stanęła absolutna to-
lerancja aktów samowoli i
beprawia, dokonywanych w
miejście przez tego nie ko-
ronowanego króla handlarzy
mieszkań. Jeszcze przecież
nie tak dawno, z górą dwa
lata wstecz powstał bezpraw-
nie wzniesiony obiekt przy
ulicy Piotrkowskiej 3, w
którym znalazło pomieszcze-
nie 15 rodzin.

Obiekt składa się z dłu-
giego baru, wykonanego z
pustaków, którego szczyto-
wa ściana przylega do jed-
nego z oddziałów AZPP. Stan
techniczny tego obiektu jest
z pewnością gorszy od nie-
jednych folwarcznych czwo-
raków, które były zmorem
przedwojennej wsi. Między
jego stropem, a ścianą od-
działu AZPP wytworzyła się
szpara, którą woda wlewa
się do wnętrza mieszkań.
Woda leje się także przez
sufity. Mieszkania oddziela-
ja od podwórza załadowe
drzwi z cienkimi desec-
kami, które nie stanowią o-
chrony nie tylko przed zim-
nem, ale i wdzierającym się
z zewnątrz fetorem. Pod ok-
nami tych mieszkań znaj-
dują się w bezpośrednim
sąsiedztwie kloaki i śmiet-
nik, a na dachy na terenie
posesji trzyma się świnie.

Za te właśnie mieszkania,
zgodnie z oświadczeniem
mieszkających w nich osób,
właściciel brał od 12 do 30
tys. zł, zaś czynsz wynosił
przecieżnie 80 zł miesięcznie
za jedno mieszkanie. Zysk
jest więc czysty i niemały.
Do tego zysku dopłaci jesz-
cze ob. Stańczykowi państwo.
Wcześniej czy później barak
trzeba będzie rozebrać.

Wszak uraga on nie tylko
higienie, ale zagraża zdro-
wiu mieszkających tam lu-
dzi. A znaleźć mieszkanie
dla 15 rodzin to tyle samo,
co wybudować dla nich blok.

WINNEGO SZUKAĆ ZE ŚWIECĄ

Któż więc jest za to od-
powiedzialny? Zgodnie ze
stanem faktycznym trzeba
podać, że winnego trudno
będzie znaleźć. Ob. Stańczyk
otrzymał przecież zezwolenie
na budowę w tym miejscu
objektu gospodarczego. Po-
stawił więc, wyglądające na
szopę oszalowanie z desek,
zaś wewnątrz szopy wznosił
wspomniane baraki. Wyda-
wałoby się zatem, że w po-
rządku jest Wydział Archi-
tektury Prez. PRN, który
wydawał zezwolenie jedynie
na wzniesienie budynku gos-
podarczego, w porządku są
także funkcjonariusze MO,
którzy w trakcie budowy
stwierdzili, że ob. Stańczyk
takie zezwolenie posiada, a
mimo to coś tu jest grubo
nie w porządku.

Trudno przecież wybielać
zardłom władze powiatowe
jak i miejskie, które dały
dowód całkowitego braku
zainteresowania tym, co się
dzieje na ich własnym pod-
wórku. Trudno również u-
wierzyć, że dały się one
znieść pozorom szytym tak
grubymi niemi, trudno tym
bardziej, że po zburzeniu
oszalowania, kiedy na miej-
scu szopy zobaczono budy-
nek mieszkalny nikt ob.
Stańczyka nie powołał do
odpowiedzialności karnej.
Nawet Powiatowe Kolegium
Karno-Administracyjne nie
wymierzyło mu grzywny z
tego powodu, że nikt do Ko-
legium nie nadesłał odpo-
wiedniego wniosku.

Po raz drugi zatem wypa-
da zapytać: kto jest w Alek-
sandrowie silniejszy? Wła-
dzie miejskie, stojące na stra-
ży praworządności, czy ob.
Stańczyk tę praworządność
łamiący?

Od czasu wystawienia
przez ob. Stańczyka wspo-
mnianego baruku minęły z
górami dwa lata. W okresie
tym zmieniła się obsada Wy-
działu Architektury Prezy-
dium PRN, zmieniły się
składy samych prezydów
Powiatowej i Miejskiej
Rady Narodowej w Aleksan-
drowie. Mimo to trzeba be-
dzie znaleźć tych, którzy nie
dopełniając obowiązków wy-
nikających z racji zajmowa-
nych stanowisk dopuścili w
Aleksandrowie do łamania
przepisów prawa.

Trzeba to zrobić w imię
słusznej sprawy. Chodzi tu
bowiem nie tylko, jak sądzi
niektórzy członkowie Prezy-
dium MRN w Aleksandrowie,
o jedną eksmisję. Chodzi
tu o problem interesu-
jący ogół społeczeństwa,
gdyż problemem społecznym
stały się w Aleksandrowie
kwestie mieszkaniowe.

Dotyczy to zresztą haraczu
nie tylko za najem. Dotyczy
to również samego czynszu.
Komorne w tym mieście jest
niezwykle wysokie. Za naj-
edne izby w domach pry-
watnych płaci się od 80 do

150 zł miesięcznie. Izby te
nie mają żadnego wyposa-
żenia. Często posesie, na któ-
rych się one znajdują poz-
bawione są śmietników, stu-
dzien, czy strychów. Mimo
to czynsz jest ustalany w
tak wysokich granicach. A
lokatorzy płacą lecz płacą.
Po prostu nie wiedzą, że ma-
ją prawo odwołania się w
tej sprawie do Prezydium
MRN.

Rozmawiałam na ten te-
mat z członkami Prezydium.
Zgodzili się ze mną, że tak
jest istotnie. Lecz kiedy za-
pytałam dlaczego tak jest,
jeden z członków Prezy-
dium powiedział, że nadarza
się świetna okazja, aby po-
informować mieszkańców
Aleksandrowa o tych upra-
wnieniach za pośrednictwem
prasy. Przedziewne stawianie
sprawy Prasa nie jest prze-
cież powołana do wyreca-
nia terenowych organów ad-
ministracji.

POMÓŻCIE

Matki z dziećmi na re-
kach, kobieta złożona reu-
matyzmem. Ludzie zrezygno-
wani i zrozpaczeni proszą —
Pomóżcie! Niech wreszcie
skończy się nasza krzywdy.
Głosy te kierują do woje-
wódzkiej instancji partyjnej
i Prezydium Wojewódz-
kiej Rady Narodowej.
To prawda, Towarzysze, że
ludzie ci padli ofiarą włas-
nej naiwności. Śumy, któ-
re płacili przy wynajmie
mieszkań starczyłyby na
wkłady do spółdzielni mies-
kaniowej. Prawdą jest jed-
nak także, że znajdują się
w krytycznych warunkach i
pomóc im trzeba.

Dotychczasowy tok załat-
wiania tych spraw przez
władze aleksandrowskie i po-
wiatowe nie gwarantuje
szybkiego położenia tamy
bezprawiu w tym mieście.
I dlatego zwracam się do
Wydziału Architektury i
Nadzoru Budowlanego Pre-
zydium Woj. RN o wyciąg-
nięcie konsekwencji w sto-
sunku do winnych samowoli
budowlanej w Aleksandro-
wie. Zwracam się do Wy-
działu Gospodarki Komunal-
nej i Mieszkaniowej Prezy-
dium Woj. RN o szybką po-
moc w uporządkowaniu w
Aleksandrowie spraw loko-
wych. Zwracam się do Wy-
działu Finansowego Prezy-
dium Woj. RN o ustalenie
podatku dochodowego dla
osób pobierających za najem
mieszkań sumy „idące” w
dziesiątki tysięcy złotych.

I wreszcie zwracam się do
Wojewódzkiej Stacji Sani-
tarno-Epidemiologicznej o
dokładną lustrację aleksan-
drowskich posesji i wydanie
zarządzeń, które stworzą
w tym mieście względnie hi-
gieniczne warunki.

Obecna sytuacja wymaga
bowiem ogłoszenia dla Alek-
sandrowa stanu alarmowego.

BARBARA WRZESIŃSKA

odgłosy str 7

„Termitiera” w Teatrze im. Jaracza

Z debiutów dramaturgicznych, które odbyły się w Łodzi, najbardziej interesującym jest ten ostatni: „Termitiera”. Zbigniewa Nienackiego — rzecz o zmaterializowaniu się mitu. Twór wyobraźni wchodzi w obieg społeczny jako pogłoska, następnie przybiera postać wiary, wreszcie staje się źródłem siły napędowej w ruchu społeczności, przeobrażając formy jej bytu. Tematem „Termitiera” jest więc społeczny awans bredni podniesionej do rangi dogmatu, który głosi, iż...

...fundamentom pewnego miasta (tym metaforycznym i tym prawdziwym) grozi zagłada przez termity. Urojona groźba jest propagowana jako prawdziwa, ponieważ panująca w mieście klika potrzebuje dla utrzymania się przy władzy jakiegoś ideowego pretekstu. Mit umożliwia klicie wygranie wyborów, w których zachwala mera jako fuhrera w walce z termitami. Nienacki ilustruje tezę, że nie ma mitów we współczesnym społeczeństwie bez zainteresowanych menażerów, że panujące mity są mitami rządzącej klasy. Stosuje ona zrazu demokratyczne środki, a ucieka się do totalistycznej przemocy, kiedy ideowe fundamenty jej panowania zostają zburzone. W tym konkretnym scenicznym przypadku: stary mit zabił swoje i może odejść, gdyż rządy prawdziwego już fuhrera lansują nową ideę: w mieście nigdy nie było i nie będzie termitów. W ten sposób powstaje nowy mit, bo właśnie po ustanowieniu władzy totalistycznej zjawiają się w mieście realne, niemitologiczne termity, importowane z

dalekiej Afryki na skutek nieporozumienia.

Rozmnażające się żywe termity, uchodzą za urojenie, bo nowa władza rozkazuje pod groźbą najcięższych policyjnych sankcji wierzyć, że to, co jest namacalną i widoczną prawdą, nie istnieje.

Nienacki traktuje między innymi o tym, co wiemy z autopsji: dyktatorstwu potrzebne są mity. Militarystom niemieckiemu potrzebny był mit o germańskim nadszłowieku, nowa wersja powstałego kilka tysięcy lat temu mitu o wybranym (tym razem do panowania nad światem) narodzie. Ale sztuki dramatyczne nie odkrywały, jak dotychczas, prawd socjologicznych i Nienacki nie odkrył procesu materializacji mitu, lecz tylko pokazał go na scenie. Z talentem — chociaż opierając się na już istniejących założeniach dramatycznych wypowiedzi, do czego się zresztą w zeszycie programowym sam przyznaje.

Nie o to chodzi. Sek w tym, że sztuka jest bardzo interesująca, a debiut, jak dotychczas, najlepszy w Łodzi. Zespół Teatru im. Jaracza ma swój udział w tym sukcesie. Inscenizacja i reżyseria Jerzego Waldena, któremu scenograf Ewa Sobolowa waleśnie dopomogła, aż roi się o pomysły — które służą wyłączenie urzeczywistnieniu intencji autora, a nie samodzielny ambicjom inscenizatorskim, tak często u nas wychwalanym. Zdawało nam się jednak, że reżyser mógł się autorowi jeszcze bardziej przysłużyć, tu i ówdzie redukując dialogi, przystosowując je do możliwości wykonawców.



Bogusław Sochnacki i Jerzy Cwikliński w „Termitierze”
Fot: G. Puciato

Jest taki stary frazes sprawozdawczy: zespół grał z zapalem. Gdyby to powiedzono dotychczas nie istniało, użyłbym go właśnie dla określenia atmosfery, panującej na scenie.

Ale zapal, zapalem — mówimy raczej o umiejętnościach aktorów. Odnotować należy dwa spkcesy: Jerzego Cwiklińskiego (Chapelle) i Janusza Mazanka (Dupont).

Jedno jest pewne: autor po-

winien być zadowolony z aktorów, aktorzy zaś z młodziego łódzkiego pisarza. Termitom Nienackiego wróćę wędrowkę po scenach całego kraju. Zasluguja na to w pełni.

„Termitiera” Zbigniewa Nienackiego. Prapremiera: 15.III.1962 r. w Teatrze im. Jaracza w Łodzi. Inscenizacja i reżyseria: Jerzy Walden. Scenografia: Ewa Sobolowa.

W kawiarni — literatura

Zadna to nowość. Kawiarnia od dziesiątków lat była jak pisał Boy, „kuźnia intelektualna”, terenem gdzie literatura, sztuka zajmowały w dysputach miejsce nie ostatnie.

Nowość polega na czym innym. Odtąd od jakiegoś czasu w młodzieżowej kawiarni „Staromiejskiej” Wydawnictwo Łódzkie wspólnie z działaczami ZMS organizuje spotkania autorów książek mających niebawem zająć miejsce w witrynach księgarni. Powie kłós — standardowy wieczór autorów. No, nie bardzo. Oczywiście, w pobożnych założeniach spotkania z autorem książki miały chyba być po prostu kulturalną reklamą. I tak też w wielu wypadkach jest. Ale przecież nie zawsze. Na przykład „Suche trawy” Andrzeja Brychta, prezentowane w grudniu w „Staromiejskiej” dziś cieszą się dużym powodzeniem. Impreza książce pomogła.

Rzecz prosta, nie wszystkim pozycjom staromiejska reklama pomoże. Trudno sądzić, że po spotkaniu na temat „Biblioteki poetów 1961” tłumy oblegać będą księgarnie. Ale to już — jak mawiał Kipling — zupełnie inna historia i za ten fakt winić nie można ani Wydawnictwa, ani czytelników, ani nawet... poetów. Właśnie — ani poetów, choć to byłoby dla wielu nieprawdopodobnie

oczytanych erudytoów najwygodniejsze.

Zarówno Wydawnictwo jak i rozsądnie myślące kierownictwo „Staromiejskiej” przedkłada jak widać działanie nad częste rozmowy. Właśnie w tej młodzieżowej kawiarni zdarzają się fakty w Łodzi niezwykłe. Młodzi ludzie, po prostu zwykli młodzi ludzie, rozmawiają o literaturze dłużej po zamknięciu lokalu.

A zatem imprezy mają sens. Mają sens pogaduszki nieletnich „urków” z Brychtem, mają sens często naukowe problemy, pytania podnoszone w staromiejskich rozmowach.

Kierownik programowy kawiarni myśli również o kontakcie z Wydawnictwem „Iskry”. Dobry pomysł. „Iskry” są wydawnictwem młodzieżowym i wydaje się, że również jak Wydawnictwo Łódzkie będą miały co zaprezentować młodemu łódzkiemu czytelnikowi.

Cała impreza wymagałaby tylko może jednej korekty. Chodzi po prostu o to, aby obok autora książki znalazł się na spotkaniach także i wydawca. Jeśli słuchacz a więc potencjalny czytelnik nie interesują nawet sprawy związane z cyklem wydawniczym książki, to chyba wydawcy interesują reakcje czytelnika na prezentowany utwór.

J.W.

informacje i zapiski

Anglicy skonsumowali już 54 tony gulaszu produkcji Przetwórnicy Łódzkiej Zakładów Mięsnych. Apetyty widać rosły, bowiem zamówienia na rok bieżący wyrażają się liczbą 270 ton.

Około 400 pracowników ZPR im. Marchlewskiego oddało honorowo krew na potrzeby łódzkiego leczenia.

Pod Łowiczem zbudowana zostanie karczma regionalna, która ma być atrakcją dla zagranicznych turystów. Atrakcyjność owa zapewne mają zarówno wycieczki i stroje personalne, jak i nieograniczone ilości czystej eksportowej.

Aż 6 tysięcy nie nadających się do użytku parasolek odesłał niedawno Centrum Łódzkie producentom. Żeby było śmieszniej informujemy, że producentem tym były... Łódzkie Zakłady Budowy Maszyn.

W ciągu ostatnich sześciu lat liczba różnego typu punktów usługowych w naszym województwie wzrosła z 5.300 do ponad 10.000.

Niedawno w Filharmonii Łódzkiej odbyła się uroczystość jubileuszowa 85-lecia istnienia w Łodzi Stowarzyszenia Śpiewaczego „Echo”.

W Osiedlu Studenckim odbył się przed kilku dniami odczyt pt. „Zapamiętajcie, a może naplemy się?”. Jak się dowiadujemy, obie propozycje przyjęte zostały przez zebranych z entuzjazmem.

J. W.

TADEUSZ WIĄCEK

POETA PROZY



O młodej poezji mówi się różnie, o młodej prozie przeżwająco źle. Okres dwóch lat po roku 1956, przyniósł modę na czarny pesymizm. W dniu dzisiejszym sytuacja wygląda inaczej. Proza młodych przestała być jednolitą, jest mocno zróżnicowana, co wychodzi jej z pewnością na dobre. Przelomowym dla niej rokiem był rok 1960. Ukazują się wtedy między innymi „Poręby” Lenarta, „Pojednienie” Bonarskiego, „Południe” Patkowskiego i debiut prozatorski Bernarda Sztajnera, „Tajemnica Maksa Hellera”. Ta niewielka książeczka wkroczyła do naszej prozy jeden z najciekawszych pisarzy obozu „młodych”. Dotychczasowa twórczość Sztajnera obejmowała: tomik poezji „Chwila ahistoryczna” (1958 r.), zbiór miniatury opowiadań „Tajemnica Maksa Hellera” (1960 r.), powieść „Narodziny Brunona Bundera” (1962 r.) oraz wiersze i opowiadania drukowane w prasie. Debiut poe-

tycki przyszedł stosunkowo późno, zważywszy, że autor miał wówczas trzydzieści lat, a wiersze pisał od 1945 roku. Włodzimierz Krysiński pisał po ukazaniu się „Chwili ahistorycznej”: — „Łódź przybył poeta interesujący o ciekawej wyobraźni i prawie ukształtowanym już poetyckim obliczu („Odgłosy” 5-1959 r.). Czytając wiersze zamieszczone w tym zbiorze, odczuwa się obcowanie z poetą z prawdziwego zdarzenia. Sztajner pisze szczerze, odkrywa swe wnętrza, nie należy zapominać, że przez kilka lat pisał wyłącznie dla siebie, nie zamierzając publikować swych utworów. Autor „Chwili ahistorycznej” zaprezentował się jako rzecznik poezji konkretnej i refleksyjnej. Tomik ten nie wzbudził jednak szerokiego zainteresowania, na jakie zasługiwał: ginał wśród jedynastu poezji „Biblioteki poetów”. Nie przypominano sobie o nim nawet po ukazaniu się „Tajemnicy Maksa Hellera”.

ra”. A przecież „Chwila ahistoryczna” to klucz do prozy Sztajnera. Dopiero gdy ukazała się „Tajemnica Maksa Hellera” krytyka zwróciła uwagę na autora. Debiutujący prozaik oparł się tu wyłącznie na własnych przeżyciach. Tematyka miniatury opowiadań obejmuje dziecinstwo przed wybuchem wojny, okupację, po czasie współczesne. Cześć pierwsza „Sciana” poświęcona jest okresowi okupacji. Czytelnicy tych opowiadań zostają wciągnięci przez autora w atmosferę tamtych ponurych dni. Tu widzimy bardzo silny związek wierszy Sztajnera o tematyce okupacyjnej ze „Scianą”. Z każdego wiersza mogłoby powstać miniaturowe opowiadanie, a z każdego opowiadania wiersz. Następne opowiadania wypełniające ten tomik są również związane z poprzednią twórczością poetycką Sztajnera. Tomasz Burek omawiając „Tajemnicę Maksa Hellera” („Twórczość” 11-1961 r.) pisał: — „Nie czas ale śmierć, nicieś jest czwartym wymiarem świata, który buduje Sztajnera”. Rzeczywiście śmierć przeżywa się przez miniatury Sztajnera (biuro, szpital, cela itd.) i nadaje im ten przejmujący ton pesymizmu. A przecież motyw śmierci nie jest czymś nowym w twórczości Sztajnera. W „Chwili ahistorycznej” czytamy:

„Aż najdoskonalsze ludzkie Zginięcie śmierć nieludzka i niedoskonała” („Kwiatki”).

Ta sama śmierć występuje na pierwszym planie także w wierszu „Tren”. Wyraźne powiązanie widzimy między miniaturą „Przebudzenie” a wierszem „Nieobecny”. Jeśliżby na wet nikt nie słyszał o Sztajnercie — poecie, to z pewnością uderzyłaby go poetyka miniatury w „Tajemnicy Maksa Hellera” (zwrócił na to uwagę T. Papier, który nazwał ten zbiorek „Poetyka udziwnionej codzienności”). — „Odgłosy” 45-1960 r.). Opowiadania z „Tajemnicy Maksa Hellera” są tak upoetyzowane, że po ich przeczytaniu nie mogłoby nazwać autora prozaikiem, pozostałby dla mnie nadal poeta. W tym roku ukazała się trzecia książka Sztajnera „Narodziny Brunona

Bundera”. Po wierszach i opowiadaniach otrzymaliśmy powieść. Powieść oparta na wspomnieniach z lat dziecięcych jest najbardziej związana z miastem rodzinnym autora — Łodzi. W książce tej mamy najpełniejszy obraz Łodzi lat trzydziestych w dotychczasowej literaturze polskiej.

Przedwczorajszą Łódź Sztajnera można porównać tylko z Łodzią Tuwima. Jak Tuwim „dumając o fabrycznej Łodzi” „idzie przez Wschodnią, przez Kamienną, Północną, Środkową, Nowomiejską”, tak Sztajner błądzi po ulicach swego miasta („Wyszedłem na ulicę, minąłem Główną, włokłem się daleko Targową”, „ulica Nawrot szliśmy powtórnie do Główniej, kierując się teraz wprost na Wiedzew”, „Chodziłem na ulicę Skwerową i dalej”, „Przewadziła mnie ulica Sienkiewicza” itd.). Nie tylko atmosfera opisu Łodzi jest podobna u Tuwima i Sztajnera, ale podobieństwo znajdziemy także w drobiazgach, jak w „Kwiatkach polskich”: „W południe chodził pod Grand Hotel Gdzie kupeć emili i śmieci, Latem pod teatr lub do parku, Czasem trąfalo się cygaro” a w „Narodzinach Brunona Bundera”: — „Ci ulicznicy, parkowi ludzie byli mają dalszą rodzinę. Może jeden z nich trzymał w palcach niedopalek cygara, pozostawiony na ławce przez mojego ojca dla nieznanego palacza?”

W powieści tej można także zauważyć wpływ „Sklepów cynamonowych” Bruno Schulza. Tutaj również mamy oglądane oczami dziecka Olca, a także ten sam u Sztajnera i Schulza kompleks nie-polskiego pochodzenia.

Jeśli cała twórczość Schulza zamyka się w tematyce dziecięco-malomiastkowej, to twórczość Sztajnera prezentuje krag o wiele szerszy. Niemniej Schulz wydaje się być bardzo bliski Sztajnerowi. „Narodziny Brunona Bundera” są jak cała dotychczasowa twórczość Sztajnera, powieścią oparta na własnych przeżyciach. W „Tajemnicy Maksa Hellera” znajdziemy dwa opowiadania („Ludzie z parku kolejąowego” i „Wui Karol”), które jeszcze raz możemy przeczytać w „Nar-

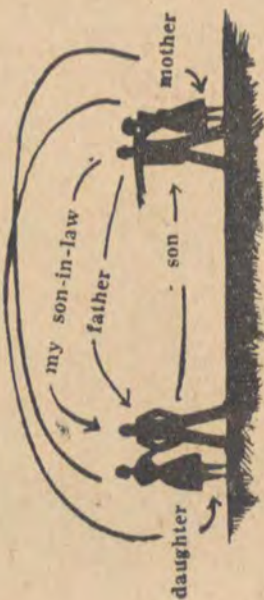
dzinach Brunona Bundera” (fragmenty pierwszego i drugiego w całości). To naczenie wskazuje na sięganie do swej poprzedniej książki, ale dowodów na to jest o wiele więcej. Bezimiennego narratora z „Tajemnicy Maksa Hellera” zastępuje tu Brunon Bunder. Odnajdziemy także przewijający się przez dotychczasowy dorobek pisarski Sztajnera motyw śmierci. W „Narodzinach Brunona Bundera” czytamy: — „Przezwałem, że śmierć może nastąpić wtedy, kiedy będę sam, kiedy każdy z nas będzie sam, najbardziej sam. Śmierć to zupełna samotność. Kiedy jesteśmy razem śmierć nas nie zaczepi, odejdzie od gromady”. W innym miejscu: — „Balem się śmierci, wyobraź sobie śmierci z twarzą”. W powieści tej znajdziemy również rozrachunek pisarza z Bogiem, który spotkamy wcześniej w „Chwili ahistorycznej”.

W „Narodzinach Brunona Bundera” znajdziemy wiele fragmentów z tym motywem np. — „Wchodząc do kościoła myślałem o Bogu, o miejscu jego pobytu. Co to znaczy, że jest w niebie, że jest wszędzieobecny. (...) Myślałem, że Bogiem jest sam kościół” lub w innym miejscu „Uważaj — mówilem — będziesz miał grzech” — „Dziwny człowieku, ty wierzysz w Boga, wierzysz w grzechy”. „Słuchałem z otwartymi ustami. To już mówił ojciec — nie ma Boga, jest sumienie”.

Nielatno jest umieścić Sztajnera we współczesnej młodej prozie, która jak już zaznaczyłem na wstępie, jest tworem bardzo zróżnicowanym, nie dającym się w żaden sposób poszufradkować. Poeta i krytyk Zbigniew Bieńkowski pisał w liście do pisarza, że „wnosi (Sztajner) do współczesnej literatury coś nowego”. Jeśli chodzi o prozę łódzką, która nas najbardziej interesuje to tutaj autor „Narodzin Brunona Bundera” jest postacią wyjątkową. Można powiedzieć, że nareszcie pojawił się talent, po którym można się wiele spodziewać. Zaczekajcie, czekamy na następną książkę Bernarda Sztajnera, aby mu znowu „wyszła”.

AM I MY OWN GRANDFATHER?

I married a widow who had a grown-up daughter. My father visited us frequently, fell in love with my step-daughter and married her.
Thus my own father became my son-in-law, and my stepdaughter, being the wife of my father became my mother.
After some time my wife presented me with a son; of



course, he was my father's brother-in-law and my uncle, for he was the brother of my stepmother.
My father's wife, that is my stepdaughter, also had a son; of course, he was my brother, but at the same time he was also my grandson, for he was the son of my daughter. My wife was also my grandmother, being the mother of my stepmother.
I was the husband of my wife, but at the same time also her grandson, and since her husband of my grand-mother is also my grandfather. I am my own grandfather!
Oh, my dear...

JADEUSZ PAPIER



MAGDALENA

Siedemnastoletnia dziewczyna, Magda, dostaje się w krąg wpywów grupki „złotej młodzieży”. Za namową Boruty Magda opuszcza rodziców. Następnie seria „występów” Magdy i jej kolegów. Ostatni — oświadczenie Albina, warszawianka, który bawi „przejazdem” w Łodzi.

* * *

Było wczesne rano, kiedy mnie Boruta obudził. „Wstawaj — powiedział — był tu już Narcyz, Albin nas szuka”. Natychmiast otrzeźwia-łam. „Jak to, Albin nas odna-lazi?” „Przypadkowo spotkał Krychę” — odparł Boruta — Krycha pokłóciła się z Nar-cyzem, szła do siostry Mario-li i natknęła się na Albina. Albin całą noc chodził po wszystkich restauracjach i po hotelach, szukał nas. Krychę spotkał o drugiej w nocy. Zagroził jej milicją i ta za-prowadziła go do Narcyza. Umówili się, że wszyscy spotkamy się dzisiaj o dzie-siętej w „Warszawiance”.

Zebrałiśmy się szybko. Bo-ruta postarał się jeszcze o herbatę, wypiliśmy na stoją-co. Nie było czasu nawet oczy wodą przetrzeć. W mieszkaniu był ruch, słychać było maszynę do szycia. Matka Boruty sprzątała. Balam się, że lada chwila może zajrzeć do naszego pokoju. Wsunę-liśmy się cicho z mieszkania. Wzięliśmy także i w piętna-scie minut byliśmy w „War-szawiance”. Narcyz i Krycha siedzieli już z Albinem przy czarnej. Na mój widok twarz Albina stała się czerwona. Wydał mi się jakby mniejszy i jakiś skurczony. Pod oczami miał duże worki. Nie dziw nego, całą noc nie spał. „Ach, to ty, spryciarol! Zabawia się w podłotkę. A twój amant tymczasem kradnie i ucieka”. „Ja pana do tańca nie pro-siłam — odparłam ostro — pan sam się do mnie przy-walał. Całował po rękach. Co pan sobie myśli?” „Właśnie — wtrącił się Boruta, miał przy tym na twarzy złośli-wy uśmiešek, taki sam jak wtedy, kiedy mnie bił. — Ty, Albin się nie rzucaj. Zrobi-liśmy ci kawał, to fakt. Ale

po co zaczepiasz młode dziewczęta? Nikt cię do na-szego towarzystwa nie za-praszał. Magda jest moją na-rzeczoną. A ty do niej, jak do własnej kobiety. Ty masz żo-nę. I dzieci też masz. Chcesz, to Magda pojedzie do ciebie, na Mokotowską i przedstawi się twojej żonie. Chcesz?” Al-bin zbladł. Spoglądał kolejno to na Borutę, to na mnie to na Krychę. Narcyz sie-dział z boku i też się uśmie-chał jak Boruta. Obydwaj mieli geby łotrowskie. Zwłasz-cza Boruta. Heca nie z tej ziemi. Wyobrażam sobie, ja-kie samopoczucie miał teraz Albin. Chyba takie, jak zbi-ty pies, którego wyganiają z mieszkania na deszcz. Być może, że Albin chciałby się zapaść pod ziemię. Najgorzej chyba czuje się człowiek, któ-rego demaskują, a który wo-lałby uchodzić za kogo inne-go. Ja podobnie czułam się u Taty, kiedy przyszedł rewiro-wy. Ale Albin jeszcze gorzej, widać to było po nim. „Słu-chajcie, takie syny — rzekł wreszcie — oddawać mi tu zaraz moje rzeczy i żebym was więcej nie oglądał”. „O, wal — odparł Boruta, a

głos miał wciąż słodkizim-ny. — Nie tak ostro. Ty, Al-bin, musisz zrozumieć jedno. Ze myśmy chcieli ci zrobić tylko kawał. Inaczej byś nas tu wcale nie oglądał. No, nie?” — zwrócił się do nas. „Jasne” — potwierdził Nar-cyz. „Ale bądź łaskaw prze-mawiać do nas nieco uprzej-miej. Więc prosisz o twoje rzeczy, tak? No, powiedz, pro-szę”. „Proszę” — rzekł ogłu-piały Albin. Był bardzo nie-szczęśliwy i minę miał glu-pią. Boruta robił z nim, co chciał. Co, czy żałowała Al-bina? A mnie kto żałował? Czy ja mu co ukradłam? To Albin chciał mnie wykorzy-stać. No, już coś niecoś wiem na ten temat. Dlaczego mia-łam mu współczuć? „Więc masz tu swoją teczkę, pidżamę, koszulę, nawet krawał, pape-ry w porządku, od wypadku zapisałem twój adres, może bę-dę w Warszawie, to ci zło-żę wizytę. Proszę, nie nie brakuje” — powiedział do niego Boruta. „A płaszcz? A zega-rek? A pieniądze?” — zawo-łał Albin. „Płaszcz jest u szatniarki, dasz nam pieniądze — dwieście złotych, to go wykupimy, albo damy ci adres. A o zegarku i forsie pierwszy raz słyszę. Miałeś grubszą forse? Musiałeś ją zgubić. By-leś pijany. Słuchajcie, on miał forse i zgubił. Zegarek też? Nie, coś podobnego”. Albin miledzał przez chwilę, bardzo zdumiony. Minę miał kretyński. Nie wierzył swym uszom. „Co? Jak? By-łem pijany? Jak śmiesz coś podobnego mówić? Natych-miast oddaj pieniądze i ze-garek! Natychmiast!” „Nie mam wątpliwości, że Albin jeszcze nie wytrzeźwiał” — rzekł Narcyz. „Jest komplet-nie pijany” — potwierdziła Krycha, która od paru minut z podziwem spoglądała na Borutę. „Z pewnością — od-

parł zimno Boruta — gdyż inaczej byłby nam dziękował, a nie zachowywał się jak do-rożkarz”. Odniosłam wrażenie, że spokój Boruty działał wy-bitnie źle na nerwy Albina. Ten mały, niski człowieczek o mało nie pęł z złości. Nie mógł przemówić ani sło-wa. Potem wsparł głowę na rękach i spoglądał na nas szklistymi oczami. „No wiesz, Narcyz, pierwszy raz spoty-kam tak niewdzięcznego go-scia — rzekł Boruta. — Inny by nas po rękach całował. Może jest chory?” „Czy są-dzisz, że jest z nim aż tak źle?” — zapytał obłudnie Narcyz. „Co można o tym wiedzieć? Ale z pewnością nerwy ma nie w porządku. Chodźmy, może otrzeźwieje”. Boruta wstał, kiwnął ręką kelnerkom, które z dala przy-patrywały się tej scenie. „Zeg naj Albin” — powiedział. „Do zobal!” — krzyknęła weselo Krycha. „Pozdrów żonę!” — rzekł Narcyz. Wyszliśmy zostawiając Al-bina samego. Nie żałowałam Albina. Od początku wydał mi się nieprzyjemny. Rzeczy-wiście Boruta miał rację. Ma drań żonę i dzieci, a dowala się do młodych dziewcząt. Niechby sobie jeszcze na to od czasu do czasu pozwolił, ale robi to w taki sposób, że się zbiera na wymioty. „Idziesz, Krycha, ze mną?” — zapytał Boruta, kiedyśmy wyszli na Próchnika. „A Magda?” — zapytała Kry-cha. „Magda ma teraz pozować u Długiego. Opylimy ze-garek Albina”. „A co mam powiedzieć Długiemu?” — za-pytałam. — „Powiedzieć mu o Albinie?” „Powiedz, i tak się dowie”. „Wszystko? O ze-garku też?” „O zegarku rów-nież”. „Dobrze” — odpowie-działam. „Cziao!” — rzekł do mnie Narcyz. — „Zdaje mi się, Magda, że wkrótce zosta-

niesz wdową. Przepowiadam ci to. Nie bój się nic, zaopie-kuję się tobą”. „Zamknij się!” — Boruta pogroził Narcyzowi pięścią. Narcyz powtórzył: „Cziao! Nie przejmuj się dzie-cino.” — odwrócił się na pię-cie i odszedł.
Miałam wielką ochotę na kawiarnię, lecz trzeba było jechać do Długiego. Siadłam więc do tramwaju. Wsiadłam przy Wojska Polskiego i bie-giem popędziłam do mieszka-nia Długiego. Zdyszana sta-nęłam przed drzwiami. Ze środka dochodziły mnie zmie-szane głosy, jakby się ktoś z kimś kłócił. Poznałam głos Długiego, który mówił: „Jeśli ci się nie podoba, wiesz chy-ba, jaka na to rada, ucie-kać mi z drogi!” A w odpo-wiedzi piskliwy głos jakiejś babki: „Podlec! Wcale mi o ciebie nie chodzi. Nie myśl, że mam dla ciebie jakiegol-wiek uczucie. Jesteś dra-niem nad draniami. Masz dziecko i musisz na nie pla-cić. Oddam cię do prokura-tora!” Znowu Długi: „Nie nabierzesz mnie. Czy ty na-prawdę chcesz zrobić ze mnie idiotę? Nie jestem aż tak naiwny. Możesz się udać i do dziesięciu prokuratorów”. „Ach ty, ach ty” — głos babki był coraz piskliwszy. Otworzyły się drzwi i zobaczyłam mło-dą dziewczynę, trudno mi po-wiedzieć, ile lat starszą ode mnie. Ubrana była w niebie-ski kostium. W rękę miała parasolkę i torebkę. Za nią

Dalszy ciąg na str. 10

odgłosy str 9

THE GREEN CANDLE

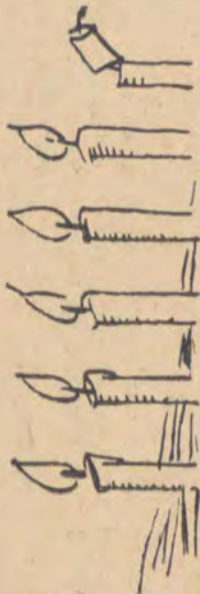
Once upon a time there was a candle. It was all green. And it was a very beautiful candle. There were five more candles just like it. They were all in a white box.

The white box with the green candles was in a grocer's shop. The grocer said: — I do not like these candles, I shall never sell them. Who wants candles at our time? Now there is electricity everywhere.

But one day a lady came into the grocer's shop. She said: — I want some green candles. But they must be very beautiful.

The grocer was very glad to hear these words and said: — I have just what you want. And when the lady saw the box with the six green candles, she bought them at once.

The lady came home. She took out the candles and put them into six candlesticks. Then she carried them to the dining-room where the table was laid for supper.



ES IST KEIN MEISTER VOM HIMMEL GEFALLEN

Vor langen Jahren ernteten sieben Bauern von ihrem Acker Kartoffeln; 28 Säcke mit 28 Zentnern Kartoffeln. Sie brachten die Kartoffeln in die Schule.

Warum in die Schule? — Ja, sie mussten eine Tafel haben. Sie wollten die 28 Zentner Kartoffeln in 7 Teile teilen. Es rechnet sich besser mit einer Kreide, so dachten die Bauern.

Einer von den Bauern nahm die Kreide in die Hand und begann langsam zu schreiben:

$$\begin{array}{r} 28 : 7 = 13 \\ 7 \\ \underline{21} \\ 21 \\ \underline{21} \\ 0 \end{array}$$

Dabei sprach er:

- Acht durch sieben ist eins.
- Ist eins — sprachen die anderen.
- Ein mal sieben ist sieben.
- Ist sieben — wiederholten die anderen, und der erste Bauer schrieb sieben unter achtundzwanzig.
- Jetzt müssen wir abziehen. Sieben von acht ist eins.
- Ist eins — wiederholten die anderen.
- Null von zwei ist zwei.
- Ist zwei.
- Jetzt teilen wir einundzwanzig durch sieben und wir bekommen drei.

On the table there were three big vases with red roses. She put two candles at one end of the table, two at the other end and two in the middle. The table looked very beautiful.

There was to be a party that evening. Twelve guests were coming and the lady wanted to have a very good party. The lady said:

— I am very glad I bought these green candles. All guests will like them. Their light is more beautiful than the electric light.

She looked at the table once more and left the room. As soon as she went out, the wind opened the door and one of the green candles fell out of the candlestick and rolled on the floor.

The guests and the lady came into the dining-room. The lady saw the green candle on the floor and she put it back into the candlestick, but it was very difficult to do it, because the candle was broken.

— What a pity. This candle is broken. It can fall out of the candlestick.

The lady took the candle to the kitchen and put it on the shelf into an old tin.

The Electric Lamp in the kitchen said:

— Why did the lady buy these stupid green candles. I give more light than a hundred of candles.

The Green Candle said:

— It is not kind of you to talk like that. I am so unhappy. And you are not even sorry for me. I wanted so much to be useful to people. And now I shall never be useful again.

— Und wir bekommen drei.

— Denn drei mal sieben ist einundzwanzig. Also es stimmt.

— Ja, es stimmt — sagten die anderen.

Alle waren froh, dass die Rechnung stimmte.

Aber plötzlich sagte ein anderer Bauer:

— Hm, achundzwanzig durch sieben ist dreizehn. Haben wir so viel Kartoffeln für jeden von uns?

— Da steht es weiss auf der schwarzen Tafel. Die Rechnung stimmt — sagte der erste Bauer.

— Ja, aber vielleicht ist in der Rechnung ein Fehler? Machen wir noch eine Probe — sagte ein anderer Bauer und nahm die Kreide in die Hand und begann langsam zu schreiben.

13 x 7
21
7
28

Dabei sprach er:

— Drei mal sieben ist einundzwanzig.

— Einundzwanzig — wiederholten die anderen.

— Ein mal sieben ist sieben.

— Ist sieben.

The Electric Lamp said:

How can a candle be useful?

The party began. The guests were very pleased. They said:

— The green candles are beautiful. We like them much better than the electric lamps.

But only five candles heard it and saw the party. The broken candle was lying in the tin and was crying bitterly.

But suddenly the electric light went out in all the house. It was quite dark in the kitchen. The lady came into the kitchen and began to look for the old tin on the shelf.

She found it, took out the Green Candle and lighted it.

The Green Candle said:

— I am so happy. I am useful to people again.

And the Green Candle burnt brighter and brighter like a little star.

The Electric Lamp said:

— I am sorry. Now I see. You can be useful to people.

The Green Candle answered:

— Everybody can make a mistake. But we must always hope for the best.

After that the electric light and the candle were always good friends.



— Zusammen achtundzwanzig. Es stimmt.

— Zusammen achtundzwanzig. Es stimmt — riefen alle zusammen.

Alle gratulierten dem Rechenmeister. Alle waren froh und gingen ins Gasthaus, um etwas zu trinken.

Aber einer von ihnen ging in die Schule zurück. Er öffnete die Klassenfür ganz still, nahm die Kreide in die Hand und begann langsam zu schreiben. Dabei sprach er:

Der erste bekommt . . . 13 Zentner
der zweite . . . 13
der dritte . . . 13
der vierte . . . 13
der fünfte . . . 13
der sechste . . . 13
und ich bekomme auch . . . 13

21 Zentner
7
28 Zentner

Drei und drei ist sechs und drei ist neun und drei ist zwölf und drei ist fünfzehn und drei ist achtzehn und drei ist einundzwanzig.

Er schrieb einundzwanzig darunter. Dann rechnete er weiter:

— Eins und eins ist zwei und eins ist drei und vier ist fünf und eins ist sechs und eins ist sieben.

Dalszy ciag ze str. 9

stall Długi w szlafroku. Był bez okularów. Ale wyglądał jak siekany kotlet, taki różowy. „Proszę” — rzekł na mój widok. Na tamą babkę nawet nie spojrział.

„Jest Mariola?” — zapytałam. „Kończy śniadanie” — odparł Długi. — „A ty, jadaś coś?” „Nie zdążyłam” — odparłam. „Więc idź do kuchni, ja tymczasem przygotowuję się do zdjęć”. „Dobra!” Skierowałam się do kuchni. Na mój widok Mariola powstała i uściłaskala mnie. Mariola zawsze odnosiła się do mnie z serdecznością. Oddałam jej uściłaski z jeszcze większym zapalem, po czym zapytałam: „Co to za babka, która wyszła przed chwilą od Długiego?” „To jego pierwsza żona — odparła Mariola — Długi z nią nie żyje. Rozwiódł się. Mają dziecko, syna, Długi nie chce płacić alimentów, więc ona odwiedza go co pewien czas. Zasypują się wyzyskami. Dobrze, że się nie pobili”. „To ci heca. Dlaczego Długi nie chce płacić? Sądzę, że go stać na paręset złotych”. Mariola wzruszyła ramionami. „Skąd mam wiedzieć? Nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałam. Lepiej go o to nie pytać”. „Jednak mi żal babki” — rzekłam. „Mogła być ostrożną” — odparła Mariola. Zabrałyśmy się do palasowania resztek wczorajszej uczty. Było jeszcze jakieś wino i Mariola

wlała go do herbaty. Poczuliśmy się nieco różnie. Jednak widok tej dziewczyny, rozżalonej i rozdygotanej nie schodził mi z oczu. „Słuchaj Mariola, ci mężczyźni to jednak pierwszorzędne świnię”. „Boże święty!” — krzyknęła Mariola — „jakaś ty cnotliwa”. Pokazała mi „Express”, w którym był artykuł: „600 zł za flirt. Teresa P. główną bohaterką. Milicja zlikwidowała dom schadzek”.

„I cóż ty na to, przedstawicielko płci pięknej o wątpliwej reputacji?” — zapytała Mariola. „Cóż mam z tym wspólnego?” — odparłam zdziwiona. — Nie znamam, ani nie znam żadnej Teresy P. Chcę się bawić, użyć możliwych rozkoszy i nie więcej”. „Nie obrażaj się — odparła Mariola. — Jesteś fajną dziewczyną”. Mariola nie powiedziała tych słów, żeby mi kładzie. Wiem o tym. Tak powiedziała, bo tak myślała. I to mnie rozczuliło. Poczuliśmy, że wzbiła we mnie tkliwość. „Czy mówisz poważnie?” „Ach, tak. Jak możesz w to wątpić? Jednakże...” „Co jednakże?” — zapytałam z niepokojem. „Czy wiesz, kto jest ta pani Teresa P.?” — zapytała Mariola. Głos jej leciutko zadrdzał. Zauważyłam, że oczy jej mają pewien szczególny wyraz. „Na Boga, co też ona ma na myśli?” — zadalam sobie pytanie. Mariola zerwała się z krzesła. „Teresa P. jest Pumą”. „I cóż z tego?” — zapytałam. „Czy to ta sama Puma, do której chodził Tato?” „Ta sama”. „Co nas łączy z Pumą? Dlaczego mamy się niepokoić?” „Tatę poznałam u Pumy — rzekła prosto Mariola — Tato zachodzi do Pumy”. Nie miałam czasu zastanawiać się nad tym, co powiedziała, gdyż w drzwiach pokazał się Długi. Był jeszcze w szlafroku, wi-

dość nie uważał, że dla nas nie potrzebuje się przebrać. „O czym gwarzycie, sikorki?” — wytał. „O Pumie. No, i żeby z tego co dla ciebie nie wypadło” — odparła Mariola. Długi zdjął okulary i poczęł je przecierać szlafrokiem. Podniósł na nas wzrok. „Słuchaj — rzekł do Marioli. — Jeśli chcesz dawać mi rady, możebyś wpięła o siebie się załuszczyła, co? Ty i tak wcześniej czy później wysiadiesz, ale co do mnie, to nie ci, dziewczyno. Mariola ani drgnęła. Tyle tylko, że patrzyła na niego, jak na jakiś martwy przedmiot. Na stół, krzesło, podłogę. Słowo daję. Nie się nie bała Długiego. Długi tymczasem mówił dalej: „Pokłoń się ode mnie Tatcie. Niech Tato uważa. Ty, zdaje się, jesteś w tym co nieco zainteresowana. Mój Boże. Kto by pomyślał, patrząc na ciebie, Ty i Tato. Puma i Tato. Jak wy się go- dzicie?” Boże święty, jaki ten Długi był wstrętny. Jak on śmiał tak mówić do Marioli. Czuliśmy do niego prawdziwą nienawiść. Darłabym mu twarz paznokciami.

Podczas gdy Mariola ubierała się do wyjścia — nagle, bez przyczyny, właściwie chyba dlatego, że byłam rozdrażniona tymi wszystkimi historiami, chwyciłam filiżankę i rzuciłam ją na podłogę. Rozprysła się na niezliczone kawałki. Długi trzymał w ręku okulary i nie zakładał ich jeszcze. Powiedział: „Rzuć jeszcze jedną. Potem posprzątaj i przyjdź do pokoju. Rozbierz się do pozowania. A ty, Mariola, powiedz chłopakom, żeby o dziewiętej trzydzieści byli na Radogoszczu”. Widzi pan? Taki był Długi. A jak się czuła Mariola! Chyba nie nadzwyczajnie. Pan to musi zrozumieć. Narzuciła na siebie płaszcz, pocałowała mnie

i wyszła. „Pa kochanie!” — usłyszałam za drzwiami. Długi zajął po chwili do kuchni i zaklął, że jeszcze nie posprząta. Potem spytał: „Gdzie, u diabła, masz jakiś rozśadek? Filiżanki tłuc? Od-kupisz”. No, widzi pan! Przy Marioli nie chciał tego powiedzieć. Prawdopodobnie i ja nie miałam najmądrzejszej miny, bo zwrócił mi uwagę, abym czym prędzej się uspokoiła. „Takiej wiedzy nie będę fotografowałam!” — rzekł. Jeżeli się czymś naprawdę gryzę, oczy mi się robią pazure, twarz gorzknieje i trzeba czasu, aby przyjąć do siebie. Rzeczywiście, w takich chwilach mam wyjątkowo wiedzmy. Po prostu brzydne. Ojciec mi na to zwracał uwagę. Mówił do mnie: „Nie mogę patrzeć spokojnie na taką wiedzę. Odwróć oczy, bo cię zatłukę”. „Rzeczywiście brał się do pa-ski i nierzadki tłukł mnie po plecach. Darłam się wówczas na cały głos. Niech wszyscy w kamienicy słyszą. Matka mówiła w sądzie, że dzieckoństwo miałam dobre i niczego mi nie brakowało. Gdyby matki wiedziały, ile dzieci jest samotnych. Często żyją w domu jak zwierzęta, dają im się tylko jeść. Mnie również niczego nie brakowało. Byłam ubrana i nie odczu-wałam głodu. Matka zawsze pytała: „Nie trzeba ci czego?” „Nie brakuje ci nic?” „Poczuj-taj sobie”. Niby nie mi nie brakowało. Ale przecież by-lam nierzadki cholernie przy-gnębiona, że wrzeszczałabym na cały głos. Godziny wlokły się jak doby. Gdyby pan był na moim miejscu, wyłby tak samo jak ja. Owszem. Niech pan to zapisze.

Kiedy posprzątałam w kuch-ni, poszłam do Długiego. Po-kój już był zamieniony na pracownię fotograficzną. Dłu-gi pozostawiał ściany okra-

nam, stół nakrył czarnym sukrem, z boku ustawił trzy reflektory. Skąd on to wszystko wytrząsnął, nie mam pojęcia. Forsy miał pewnie jak lodu. Kazał mi się rozebrać i nago klęknąć na stole. Zachowywał się w dalszym ciągu szorstko. Prawie mnie nie do-tykał. Robiłam, co mi kazał. Stałam, klęczałam, leżałam. Długi mnie ustawiał, oświe-lał, zmieniał reflektory. „Ty jesteś trochę w typie B. B.” — powiedział do mnie. „Masz wysokie, szczuple nogi, fajny bust i smutną buzię. Ale ja mogę z ciebie zrobić co ze-chcę. Brzydka dziewczuchę zro-bię na bóstwo, a z ciebie może wyjść pudeł. Zrobisz ci jedno takie zdjęcie, zoba-czysz”. Nie zachwycał mnie zbyt to pomyśl z pudeł, ale pozowanie zaczęło mi sprawiać w końcu pewną przyjemność. „Odpocznij tro-chę — rzekł Długi — ale się nie ubieraj. Jest ciepło”. Siadłam na stole i poczęłam fika-ć nogami. Nie czułam się wcale zmęczona. Zaczęłam mnie to wszystko bawić. Dłu-gi przyniósł mi kieliszek wina i kazał wypić. „Gdzie, u dia-bła, ty masz oczy?” — powie-dział nagle. — Co ci się spo-dobało w tym Borucie? Prze-cież to kawał łajdaka”. Nie warto było na to odpowiadać. Jeżeli w swojej kapuścianej głowie nie potrafił zrozumieć, że istnieje także miłość, to nie powinien zadawać ta-kich głupich pytań. A po wtóre: czymże on się różnił od Boruty? Jakoś nie mogłam tej różnicy zobaczyć. Tyle, że według mnie, Boruta był przyszło-niejszy. No, ale przy-znaję, zadał to pytanie w odpowiedniej chwili. Już do-stałam od Boruty kilka razy po pysku i Długi wiedział o tym. Zaczął znowu ustawiać reflektory. Teraz kazał stanąć do siebie tyłem, rozwichrzył

mi włosy i twarz przekreślił lekko w bok. Poklepał mnie po tyłku. „No, to będzie fest zdjęcie!” A ja pomyślałam: „Krycha zzielenieje z zazdrości”. Bo Krycha zaczęła mnie coraz bardziej wkurzać. Niech pan sobie wyobrazi: początkowo mówiła, że jej się Boruta nie podoba, a teraz chodzi za nim tak gęś. Niby to poszła sprzedawać zegarek Albinowi. A co będą robić potem? Doka-pują? Może znowu do Marioli? Albo do Boruty? Nie wiem, proszę pana, czy ja wciąż jeszcze kochałam Borutę, czy nie. Może kochałam. Ale Dłu-gi miał z pewnością rację: Boruta był niezgorszym la-dakiem.



Kalina Jedrusik i Gustaw Holoubek — laureatami!

„ZŁOTE MASKI” — PRYZNANE

To jednak imponujące! 113 tysięcy odpowiedzi w plebiscycie „Expressu Wieczornego” na najlepszego (czytaj raczej: najpopularniejszego; uznanie głosujących zawsze będzie jakoś zależne od częstotliwości ukazywania się na małym ekranie) aktora TV!

Różnica opinii była wprawdzie spora, skoro aż 37 aktorów i aktorek otrzymało ponad 1000 głosów, niemniej przewaga zwycięzców również aż nadto wyraźna. Kalina Jedrusik — 18.184 głosów, Gustaw Holoubek — głosów 18.102.

Następni: Barbara Krafftówna — 13.733 głosy, Alina Janowska — 11.445 głosów, Barbara Rylska — 6.451 głosów i wreszcie Zofia Mrozowska — 5.795 głosów.

W — jeżeli rzecz tak można — kategorii panów: Wojciech Siemion — 11.712 głosów, Włodzisław Giliński — 9.587 głosów, Bronisław Pawlik — 9.285 głosów, Mieczysław Czechowicz — 8.517 głosów.

Znacznie dalej znaleźli się dopiero Aleksandra Śląska i Halina Mikołajska, znacznie dalej byli też Adam Hanuszkiewicz, Tadeusz Łomnicki, czy — powiedzmy — „Starsi Panowie”, traktowani tu jako jedna osoba. Aktorów pozawarszawskich na podstawowych listach (to znaczy ponad tysiąc głosów) nie zauważyliśmy.

Tyle wyników technicznych. O czym jednak one świadczą?



Kalina Jedrusik w filmie „Dziś w nocy umrze miasto”



Gustaw Holoubek w filmie „Czas przeszły”

my się, że ktoś z głosujących wziął na serio ograniczenie „skali wartościowań” do roku bieżącego, Agnieszka z „Apolla z Bellac”, czy też może na częstą bohaterkę tak przeciętnej popularnej „Kobry”?

Bardziej jednoznaczne są już głosy oddane na Gustawa Holoubka, który specjalizuje się przecież w dramacie. „Podróż” Dygata, „Mario i czarodziej” Manna, „Człowiek z kwiatkiem” Pirandello, „Jes'enny wieczór” Dürrenmatta, i tak dalej i tak dalej, to przecież długa lista spektakli TV, w których rolę Holoubka głęboko wryły się nam w pamięć.

Ale znów — o Holoubku dużo, obszernie i zawsze entuzjastycznie pisała prasa. I ciekawe było wiedzieć, w jakim stopniu opinia głosujących uzależniła się od sądów „wyczytanych”, a w jakim była wynikiem uznania dla oszczędnej, skupionej, rzeczywiście nowoczesnej gry tego znakomitego aktora?

O ile jednak tych ostatnich wątpliwości — ku naszemu wielkiemu żalowi — żadne bliższe sprecyzowanie kryteriów konkursu nie rozstrzygnie, o tyle byłoby może rozsądne rozgraniczenie dwóch podstawowych, a tak przecież różnych działów telewizyjnego aktorstwa. Dramatu (w rozumieniu najszerszym, a więc z komedią łącznie) i twórczości estradowej, koncertowej. Wydaje się bowiem, że już sam rodzaj zainteresowań scenicznych Barbary Rylskiej i — przypuśćmy — Zofii Mrozowskiej jest tak różny, że jakiegokolwiek (już niekrytyczne, a nawet plebiscytowe) porównania trąca jakikolwiek sens.

Ale, jako się rzekło, zwycięzców się nie sądzi. Można im tylko gratulować, co niniejszym z satysfakcją czynimy.

Motto:

„Jeśli remont źle zrobiony był na scenie
Złóżcie sobie zażalenie”.

(Z programu „Pineski”)



Remont kapitalny

Tak więc Łódź błysnęła na ekranach całej Polski programem satyrycznym. Oczywiście programem warszawskim, bo na inny według panujących w TV przekonani nas nie stać. Niech i tak będzie. Program złożony z fragmentów spektaklu kabaretu architektów „Pineski” nosił tytuł „Remont kapitalny”. „Pineski” jest dość znanym kabaretem. Słynie z parodii Kanciera i Świącia, miała kiedyś niezłe piosenkarki, a w ogóle młodzieńczą werwę, blask i świeży dowcip. Jak każdy starszy kabaret przechodził i on okres pewnego regresu, stabilizacji i stagnacji. Mimo obliczających zapowiedzi kupletów rozpoczynających program sam jego środek był delikatnie mówiąc mdły. Hanna Ręk, którą lubimy i cenimy za jej głos zmienila ku ogólnemu zdziwieniu sposób interpretacji piosenek. Jest bardziej aktorką niż piosenkarką, wreszcie, wreszcie dzięki nie najlepszym chyba piosenkom, w które wkładała wiele serca, wypadła na ekranie jakoś nienaturalnie. Wolimy jednak dawną Rękównę, oszczędną w geście i mimice, jakby wewnętrznie przyhamowaną, skąpioną. Ale tu już zdecydował reżyser kabaretu, który wszystko lubi robić „z fajerem”. Nie

zdążył też egzaminu komplety złotych myśli rzucanych z estrady. Nie te czasy, obywateli, kiedy każde ostrzejsze słowo obojętnie jak podane zrywało huragany oklasków! Wymieniając pretensje stwierdzić trzeba jeszcze dwie rzeczy: pomysł z rakietą wplecioną w uroczystość milenijną skądś już znamy (w „Pstragu” była o tym cała operetka), więc kto z kogo ściągał? Po drugie sprawa „Przekroju”. Tu już nie posadzanym „Pineski” o złą wolę — raczej pomysły może chodzą stadami — łódzki kabaret „Pigwa” zrobił cały swój (nieodrobny zresztą) program pod „Przekrojem”. Jest w tym coś z podlizywania się popularnemu tygodnikowi, który ze swych wyżyn i tak ledwo raczy to zauważyć. A teraz słowa entuzjastycznej pochwały dla gatunku, który „Pineski” uprawia od początku i z powodzeniem. Parodie Kanciera i Świącia są najlepszymi pozycjami programu znakomicie pasującymi do możliwości telewizji.

Co do realizacji telewizyjnej też mamy zastrzeżenia: napisy zapowiadające, pisane na szkle, nie wychodziły zupełnie na ekranie. Speaker, pan Mach, zapowiadając audycje w śledniu słowach pomylił się chyba pięć

razy. W końcu wyświetlano plansze z nazwiskami realizatorów programu. Z telewizji byli wszyscy, nawet ten pan od światła i inspicjent. Potem włączył się speaker i powiedział szybko: A oto nazwiska POZOSTAŁYCH realizatorów programu. Reżyseria nitelewizyjna (a więc ta najważniejsza!) ten i ten, teksty — zrobicie coś bez tekstów — tacy a tacy, muzyka też tam ktoś...

To są właśnie z punktu widzenia telewizji ci „najmnie” ważni POZOSTALI realizatorzy kabaretu.

(m)

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 29. III. 62 R.

10.00 Program dla szkół: Język polski (dla kl. V-VII). Cykl: „O miejsce wśród ludzi”. Temat: „Pierwsze słowo” (W). 10.30 Przerwa. 17.15 Program dnia (L. lok.). 17.20 „Podróż za ocean” — film fab. prod. jugosłowiańskiej dla młodzieży (W). 18.20 Młodzieżowa Kronika Filmowa (W). 18.45 „Nie tylko dla pań” (W). 19.15 PKF (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Program z cyklu: „Fakty i poglądy” T. Kolińskiego (W). 20.25 Recital wiołenczelowy Bernarda Micholina (Francja) — w programie utwory Mendelssohna, Prokofiewa, Saint-Saënsa, de Falla (W). 21.05 „Człowiek” — film fab. prod. NRD (dowz. od lat 16) (W). 22.30 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 30. III. 62 R.

18.45 Program dnia i tygodnia (L. lok.). 17.00 Program tygodnia ogólnopolski (W). 17.20 „Spojrzenia i opinie” (L. lok.). 17.45 „Znak Zorro” — XVIII odc. (W). 18.15 Antykwariat Wszechnicy TV (Prznan), 18.50 „Piosenki w fotografii” — program rozrywkowy (Kraków). 19.00 Dziennik telewizyjny (W). 20.05 „Trybuna Telewizyjna” (W). 20.50 TV Teatr Popularny: „Ociec Goriot” w Bajzaca. Adaptacja Edwarda Szwerc. Reżyseria — Jerzy Antczak. Scenografia Jerzy Masłowski (L. ogólnopolski). 22.00 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 31. III. 62 R.

10.00 Program dla szkół: Biologia (dla kl. VII). Cykl: „Człowiek”. Temat: „Kto się na serce sparzy” (W). 10.30 Przerwa. 16.55 Program dnia (L. lok.). 17.00 Telekonkurs dla maturzystów „Literatura i matura” (W). 18.25 „Kłapa” — magazyn aktualności filmowych (Łódź ogólnopolski). 19.00 Rozmowa z Pawłem Jasienicą — prowadzi Kr. Nastulanka (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.05 „Miniatury” — program rubl. (W). 20.30 „Ostatnia runda” — film fab. prod. USA (dowz. od lat 16) (W). 22.15 PKF (W). 22.25 Ostatnie wiadomości (W). 22.30 „I Ty mu wierzyłeś...” — program rozrywkowy wg scenariusza A. Osieckiej i K. Rudzkiego. Reżyseria — A. Szczepkowski (W).

KADZY uważny i systematyczny odbiorca młodzieżowych audycji publicystycznych zdążył się już od dawna zorientować w ich ogólnym profilu, tendencjach, wartościach jak i pozycji w ogólnym, czynnym, aktywnym. Ostatecznie piosenek przez radio słucha niepomnie więcej osób, a w plebiscytach dobrze jeżeli weźmie udział kilka tysięcy.

To po pierwsze. Po drugie wyniki plebiscytu świadczą o ogromnej supremacji ośrodka (a co za tym idzie i aktorów) warszawskiego. Po trzecie — o szczególnej popularności programów rozrywkowych. Wszystkie te trzy prawdy nie są żadnym odkryciem, dobrze chyba jednak gdy uzyskujemy na ich potwierdzenie przekonujący, sprawdzalny dowód. Dowód głosów, było nie było, z górą stu tysięcy ludzi.

Warto, za dowód — bynajmniej nie ostateczny i nie jedyny — niech posłuży ostatnio nadana, 19 bm., młodzieżowa audycja „O stylu życia”, według scenariusza Zbigniewa Chylińskiego. Punktem wyjścia była euforia filmowa W. Leżewskiego „Zabawa”, nadana za reżyseria na teatralnym festiwalu filmów szkolnych. Ale rzecz nie w walorach warsztatowych „Zabawy”,

„O stylu życia”

tylko w jej przewodnim znaku umownym. Pozornie blaha historyjka: para młodych ze zdeklarowanego środowiska wyjeżdża luksusowym samochodem na spacer, urozmaicać znużenie i przesyłanym towarzystwem, piracką zabawą w wysięgi na szosie. Odczytanie podtekstu, zglebienie pointy, próba wniosków i ich generalizowania została powierzona grupie młodych dyskutantów, uczniów klas maturalnych.

Wytężone przez scenariusz, a zobrazowane w filmie zagadnienie (niezwykle trudne, gdyż dotykające aktualnego zjawiska społecznego, zobjekttywizowanego zresztą także w naszych warunkach społecznych, wciąż nasilającego się wśród określonej kategorii młodzieży) traktowało o tym standardzie życia, potocznie i w pejoratywnym znaczeniu definiowanym jako nowoczesne. Ow styl życia, do którego daje się przypisać sankcjonującą go w planetyzmie etyczno-społecznej filozofia egzystencjalizmu, a więc: swoista abnegacja światopoglądowa, negacja wartości dotąd uznawanych za trwałe, na korzyść tzw. przyjemności docelowej, wyłączne bazowanie na chwili aktualnie trwającej — to współczesna choroba znalazła żywy oddźwięk w dyskusji „O stylu życia”. Oczywiście trudno spodziewać się, aby jedna audycja publicystyczna spreprowadzała chociażby profilaktyczne antydotum. Jednak postawiona diagnoza była słuszną i tym ciekawszą, że jej autorstwo przypadło przedstawicielowi tego, generalnie uważanego za skażone, pokolenia.

Kryteria moralne — lub, jak kto woli, pseudomoralne, reprezentowane przez bohaterów filmu, młodzi sędziwie zżuwali tynnowali, lecz w sposób, który nabrał szczególnego wyrazu w trakcie ich

kontrowersyjnych sporów. Jednomyślnie zgodzono się na przyjęcie określenia intelektualnej i duchowej „puszki” bohaterów, nie odmawiając wszakże samemu stylowi bycia pewnych racji jego dynamicznej tendencji, której ekwiwalentami są tempo i emocja, „aby poznać i spróbować wszystkiego, co możliwe” przy jednoczesnym wyeliminowaniu egzystencjalnej patologii. No cóż, można się zgodzić z powyższym stanowiskiem albo — nie, alternatywa pozostaje do rozpatrzenia i dobrze byłoby, aby audycja „O stylu życia” nie ograniczyła się do telewizyjnego pokazu. Tak, sugeruje dalszy ciąg dyskusji w klasach i szkołach. Teza, podana w audycji, świetnie nadaje się do podobnego celu i nie należy jej dydaktycznych i wychowawczych postulatów marnować. Dlatego małe ułkonik pod adresem pedagogów, i jeszcze mniejsza dywagacja — w jaki sposób (i czy w ogóle) wykorzystuje się materiał dostarczany przez młodzieżowe programy publicystyczne?

Powracając do programu Z. Chylińskiego trzeba podkreślić dywagację warsztatową: na przykład wprowadzenie „martwych” dyskutantów, którzy ani razu nie zabrali głosu, a których obecność pozwoliła obserwować bezpośrednią reakcję na słowa czynnych uczestników.

Spotkałam się z jednym następującym zdaniem publicystycznym. Każdego kto ma dwa końce — powiada przysłowie — stał inni opiniodawcy poczytali tę wadę za niewątpliwą zaletę audycji.

EWA OSTROWSKA

Redaguje Zespół a Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódź a Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 a Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.-, kwartalnie zł 12.- a Redakcja nie zamawia reklam w kwartalnikach. P. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, B. stonozze oraz PUPIK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Ogłoszenia”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 a Zam 961 IV. A-4

ACH, TA MŁODZIEŻ!(?)

Interesującym przyczynkiem do dyskusji z cyklu „Ach, ta młodzież” są wywiady przeprowadzone przez 103 ankietowanych Ośrodka Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radio. Udzieliło ich około 700 reprezentantów młodzieży warszawskiej płci męskiej w wieku od 18 do 24 lat, pracowników fizycznych, umysłowych i uczących się, kawalerów, żonatych, dzieciątłych i nie. Badania, o których wyrywkowo prasa centralna już informowała, były pomyślane dość atrakcyjnie. Dotyczyły bowiem wzorów sukcesu życiowego uznawanych przez warszawską młodzież płci męskiej (żeńską widać Ośrodkowi podpadła, bo jej nie pytano).

Autor kwestionariusza zakładał hipotetycznie możliwość występowania czterech typów wzorów życiowych: 1) zawrotna fortuna, wystawne i rozrzucone spożycie, 2) życie stabilne i wolne od ryzyka, umiarkowane aspiracje, 3) życie pod kątem społecznej użyteczności, 4) i nihilistyczno-cyganeryjne.

W związku z tym w pierwszym pytaniu kwestionariusza trzeba było wybrać spośród 7 schematycznych sylwetek osób taką, która według odpowiadającego osiągnęła sukces życiowy i taką, która obrała złą drogę życiową. Sylwetki symbolizowały: np. Piotr — władzę i karierę administracyjną Jan — pogoni za pieniędzmi i wzmogłą konsumpcją, Roman — społeczeństwo połączone z osobistymi wyrzeczeniami, Tadeusz — sławę i rozgłos, Eugeniusz — wóć cyganeryjny itp.

Inne niemniej ciekawe pytania dotyczyły celów, o które warto lub nie warto zabiegać, idei, poglądów, orientacji religijnej itp.

W oparciu o uzyskane odpowiedzi Z. Bauman — warszawski socjolog, napisał studium „Wzory sukcesu młodzieży” (z którego czerpiemy powyższe wiadomości). Zaskakującym przynajmniej dla słuchacza i czytelnika wielu dyskusji o młodzieży, jest stwierdzenie w Studium nikły procent młodzieży opowiadającej się za nihilistycznym, cyganeryjnym modelem życia. Wniosek — w myśl zasady „nie kijem go to palką” nie są mimo to budujące (oczywiście z tych częściowych badań). Ze względu na wyznawane ideaty życiowe młodzież warszawska dzieli się na tych, którzy chcą zrobić karierę opartą na pieniądzu i raczej chłodno traktują jakieś wartości społeczne, działania i tych, którzy cenią zabezpieczenie przed ryzykiem dostatek, szczęście rodzinne, życie stabilne i spokojne. Oczywiście to są uogólnienia z uogólnień. Żądanych szczegółów, niekiedy nawet sensacyjnych — odсылamy do Studium Baumana. Sami pełni wahań deliberujemy „Ach, ta młodzież!”.

ODGŁOSY tygodnia

A JEDNAK — KARIERA!

Przyznajemy ze wstydem — nie wierzyliśmy choć pisaliśmy. Mniej więcej półtora roku temu „było” w „Odglasach” o włókninach. Ze rewelacją — bo przecież materiał powstaje z masy luźnych włókien albo sklejonnych, albo przesytych, że opuszcza się tradycyjne etapy przedzenia i tkania, że pewnie będą w Polsce itp. I o dziwo — włókniny naprawdę robią karierę! Niedawno pracował nad nimi w Instytucie Włókiennictwa i (słownie jeden) człowiek. A teraz od marca 14 osób i to sądząc po średniej wieku — 30 lat, energicznych. Kilka zakładów w Polsce robi już włókniny np. niezwykle poszukiwane tapicerskie, włókniny zastępujące filce, watoliny, sztywniki, ręczniki itp. W Łodzi ma powstać zakład (duży!) produkujący wyłącznie włókniny. W Lublinie pracuje od niedawna włókninowy agregat „Proctor-Schwartz” któremu wszyscy się przypatrują i na którym probują. We wspomnianym Instytucie dokonano naprawdę ważnej rzeczy — opracowano założenia do budowy 5 włókninowych agregatów, na których za dwa, trzy lata będzie można produkować wszelkie rodzaje włókien: odzieżowe, dekoracyjne, tapicerskie, izolacyjne, dermy, ręczniki do jednorazowego użycia (cieniutki i wodochłonne), filce, watoliny, koce, ceraty itp. Mało tego, agregaty mają być lepsze od zagranicznych, tańsze — bo w większości oparte na krajowych maszynach, a z ich usług mają korzystać i sąsiedzi.

Rozpływamy się nad włókninami nieomal jak nad dzieckiem znajomym. Dlatego, że:

- Niedawno pokazywano nam jedynie próbki włókien zagranicznych, a dziś wiele krajowych (np. odzieżowych i płaszczowych), a nawet gotowe wyroby;
- Włókniny mają być tanie — aż miło posłuchać, można je bowiem produkować o wiele — częściej kilkaset razy, szybciej niż tradycyjne tkaniny i potrzeba do tego mniej środków;
- Wciąż się cytują inne kraje, które robią włókniny — USA, Anglię, Francję, ZSRR, Niemcy, Czechosłowację itp., a teraz i my włączamy się w szereg... cytowanych.

NIE STRASZ, NIE STRASZ...

Ponieważ młodzi włókiennicy: technicy i inżynierowie ciężko się adaptują do zakładowego środowiska, wymyślono narady, które pełnią jak gdyby rolę wentyli. Spotykają się mianowicie młodzi ze starszymi „kolegami” — jak to się dobitnie podkreśla i żąda publicznie na temat: traktowania ich w zakładzie jak „zapachaj dziury”, pomiatania ze stanowiska na stanowisko, braku warunków do zdobycia praktycznych kwalifikacji itp. itp. Ponieważ „koledzy” to dyrektorzy Zjednoczeń, działacze Stowarzyszenia „Włókiennarzy”, ba — nawet reprezentanci ministerstwa przemysłu lekkiego, żale niekiedy znajdują posłuch i coś się poprawia.

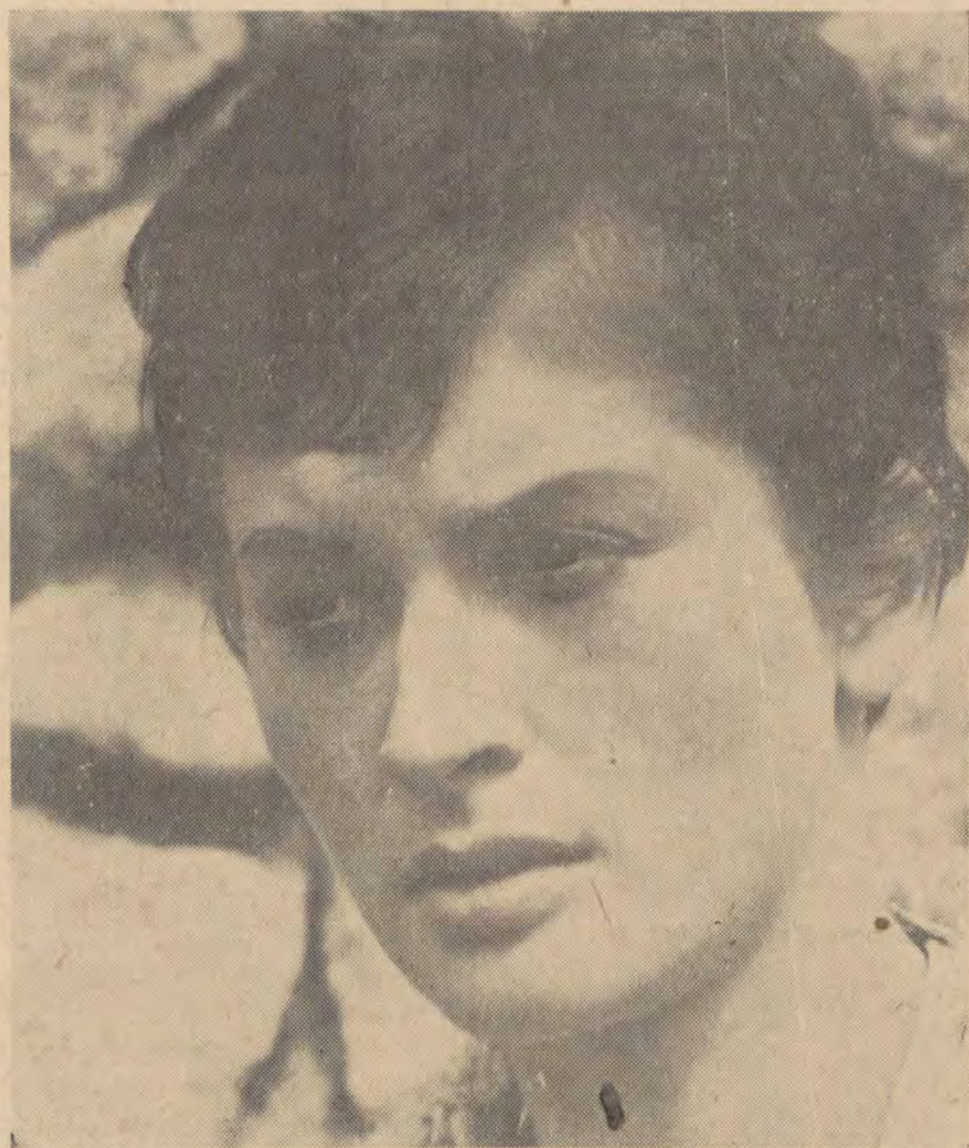
Cytuje się potem wypowiedzi kolegów i „kolegów” np. ze spotkania młodych inżynierów na Politechnice Łódzkiej (dwa lata temu), z ubiegłorocznej narady stażystów „bawelny”, którzy ponoć nie owijali w bawełnę i wyzwalili się setnie.

W zeszłym tygodniu odbyło się takie kolejne spotkanie stażystów — techników i inżynierów z przemysłu włókiennego. O dziwo — więcej mówili „koledzy” niż stażyści. Przewodniczący obrad „kolega” profesor Jędrzyka i przewodniciciel MPL „kolega” J. Fuks z pewnym wyrzutem wypomnieli to zebranym.

Trudno nam ocenić przyczyny — w proporcji do innych, nikłego uzalania stażystów z przemysłu włókiennego. (Szczerze mówiąc, życzymy chociażby rozwiązywania tych niewielu problemów, o których była mowa m. in. w sprawach pracy i płacy).

Podobno niektórym stażystom ich kierownicy w macierzystych zakładach zapowiedzieli dobitnie „tylko się nie wychylajcie...”

Piękne dziewczęta na łamy „Odglasów”



Fot. A. Kobylński

CUDOWNY ZUBARDŹ

O budownictwie można mówić nieskończenie, a i tak „długi ołówek” oraz „rozkurz” materiałów budowlanych świecić będzie stare, acz niesławne triumfy.

Dlatego warto przypomnieć o Zubardzie. Domy jak domy, owszem — ładne, śliczne pomalowane, ale poza tym takie same jak wszystkie inne z tzw. nowego budownictwa.

Nieprawda. Nie takie same, a oszczędnościowe, rozmnożone nieomal „z niczego”, z dobrej woli budowniczych i rozsądnej myśli projektantów.

Dzięki bowiem wtórnej analizie dokumentacji udało się wygospodarować dodatkowo 1.000 izb na Zubardzie więcej niż to przewidywał plan i kosztorys. Co ważniejsze izby te wybudowano przy tych samych nakładach i w tym samym, pierwotnie oznaczonym terminie. Bez „poślizgu” i bez ponadplanowych dofinansowań.

Cud się stał, ludzie, czy co?

LIKWIDATORZY I FAJKA

Maluczek a fajka stanie się, tak jak ongi żółw, niechłubnym symbolem czasu. Co to bowiem znaczy „odfajkować”? Wiemy, wiemy wszyscy.

Od tradycyjnej „fajki” nie uchroniła się i ogólnopolskowa akcja rewizji projektów inwestycyjnych. Nie wiemy, jak w innych ośrodkach kraju, ale w samej Łodzi można było przy okazji dyskusji nad tymi sprawami wyłowić kilka wcale ładnych fajek.

Nam najbardziej podobala się fajka, którą zaprezentowała jedna z komisji rewizyjnych. Ulatwila ona sobie prace nad rewizją inwestycji skreślając lekką rączką m.in. kwoty przyznane Łodzi na budowę magazynów.

Na szczęście w naszym mieście nie brak ludzi rozsądnych, którzy rozumieją, że magazyny to nie tylko sprawa magazynowania, ale i zatrudnienia. Wiele bowiem instytucji (m.in. spółdzielczość pracy oraz Centragal) nie może zwiększyć ilości punktów pracy chałupniczej i usługowej dla kobiet z powodu braku magazynów na surowce i towary gotowe.

Nie udało się więc odfajkowanie i z likwidatorskich zapędów antymagazynowych pozostały nicy. Magazyny będą w Łodzi.

Mimo to Łódź i tak przoduje wśród pozostałych miast w Polsce. W akcji rewizji inwestycji zajęła ona drugie miejsce, zaoszczędzając 3,5 proc. rewidowanych dotychczas kwot, podczas gdy średnia krajowa wynosi 2,6 proc.

SPRAWY PODNIEBIENIA

W łódzkich sklepach spożywczych pojawiły się napisy reklamujące bryndzę.

Owa bryndza posiada zalety, zaiste niespotykane. Jest SWIEŻA (co widocznie nie stanowi obowiązującej cechy artykułów spożywczych) a ponadto TLUSTA oraz EKSPORTOWA.

Bryndzy jest dużo, więc ekspedientki z radością witają każdego chętnego. Niestety, nie można w bryndzę zapatrzeć się na zapas — bowiem przestanie być SWIEŻA. Szkoda — jesteśmy bowiem przekonani, że nie minie tydzień, dwa, a po bryndze pozostaną tylko napisy reklamowe. Tak, jak dzieje się z serami Camembert czy Roquefort.

Czy rzeczywiście wyprodukowanie bryndzy jest trudnym zadaniem? Czy nie można w bryndzę zapatrzeć się na zapas — bowiem przestanie być SWIEŻA. Szkoda — jesteśmy bowiem przekonani, że nie minie tydzień, dwa, a po bryndze pozostaną tylko napisy reklamowe. Tak, jak dzieje się z serami Camembert czy Roquefort.

Francuzi mają ponoć kilka set gatunków serów. My prosimy o to, aby nabyć dwóch lub trzech nie stanowiło ewenementu spożywczego.

I jeszcze jedno: parę miesięcy temu pisano dużo o specjalnej maszynie, dzięki której w garnazerniach łódzkich pojawiają się pierożki surowe, nadziewane, w opakowaniu plastikowym (droższe lub bez).

Czy ktoś kiedyś widział pierożki — w plastyku albo już i nawet bez plastyku? Oj, nie ma komu dbać o nasze podniebienie!

PIĘĆ OFERT czyli DRENAŻ BABCI

„SZUKAM POKOJU DLA STARSZEJ OSOBY” — brzmią ogłoszenie w łódzkiej prasie, a oto, jakie napłynęły oferty.

OFERTA PIERWSZA: na południu Łodzi, za cementarnią, drewniak, jedna izba i kuchnia, małżeństwo i dwoje małych dzieci.

— Przecież tu dla was nie ma nawet miejsca, a cóż dopiero... — zauważył szukający pokoju dla starszej osoby.

— Malo, ale chcemy dorobić...

Nie interesowali się nawet tym, czy starsza osoba stoi

już może nad grobem, czy też ma dopiero 50—60 lat. Starsza osoba potrzebna im jest jak dobrodziejstwo, na starość chcieliby się podreperować.

OFERTA DRUGA: spółdzielczy blok na Balutach. — Ile będzie kosztował ten pokój? — 500 złotych...

No tak, czynsz w takim spółdzielczym dwupokojowym mieszkaniu wynosi około 500 zł, podstawy finansowe spółdzielczego lokatora widać się trochę zachwiała, ale teraz, przyjdzie babcia i będzie „nas” płacić komorne... Nie py-

tali też o wiek starszej osoby.

OFERTA TRZECIA: ulica Lagiewnicka, drewniak z ogródkiem.

— Mieszkam w mieście, a tu na razie pilnuje domku siostrzeniec, niedługo jednak pójdzie do wojska, to ta starsza osoba mogłaby popilnować.

— A ile ona ma lat?

— Około 60...

— O, wolałbym, żeby była starsza, bo, wie pan, siedziałaby na miejscu i pilnowała, a młodsza to by jeszcze chciała gdzieś wyskoczyć...

A więc sprawa jasna — babcia ma pilnować na wygwizdanie domu przed złodziejami, wieczorem zaś ma siwieć w przyspieszonym tempie, gdy pijacy i chuligani zaczynają dobijać się do drzwi.

OFERTA CZWARTA: daleki Widzew, bardzo ładny domek murowany z ogródkiem pod lasem.

— Mam ciotkę, ale nie chce, by tu mi tkwiła na karaku, wolę kogoś obcego, bo wie pan, jak to jest w rodzinie.

— Ale może ciotka jest również w trudnych warunkach?

— Co? Wie pan, ona miesiac w miesiąc dostaje 100 dolarów emerytury z Ameryki.

I tu sprawa chyba jasna. Ludzie chcą się zagaścić, a własna rodzina to ostatnia pomoc w zagęszczaniu, chodzi o to, by pokój zajął ktośkolwiek z zewnątrz, obojętne w jakim wieku i co robi — najważniejsze, aby zagęścił...

OFERTA PIĄTA: willa, wszystkie wygody — Ruda Pabianicka. — Ile trzeba będzie płacić? — Och, to nie jest istotne, zgodzimy się. Ale — ile lat ma ta starsza osoba? — Około 60... — Wybrał pan, ale to już trochę za stara kobieta. Rozumie pan, zachoruje — to, co my z-

bimy? — Ale u państwa jest telefon w domu, prawda? Gdyby się nagle coś stało, zadzwoniłbyście i przyjechałby ktoś zaopiekować się chora...

— Tak, ale to i tak kłopotliwe dla nas. Wie pan, nie mamy czasu...

No pewnie, może się produkuje pastę do podłogi, może sznurowadła, więc dla babci nie byłoby ani minuty do stracenia.

Widzicie, jakie skomplikowane jest życie. Zwłaszcza życie współczesnej babci. Ile się od niej wymaga!

Gdybyśmy nawet założyli, że babcia ma w późnosetki pięćsetek, to i to nie wystarczy jej do spokojnego, tylko sublokatorskiego, życia. Babcia jest w cenie jako obiekt bardziej wielostronny-go drenazu.